DGP
Dziennik Gazeta Prawna

# Magazyn na Weekend

RYS. PATRYK KOCH, FOT. REDKOALA/ADOBE STOCK, DZIEWUL/SHUTTERSTOCK

*Wywiad* / M**3**

## Tożsamość źródłem innowacji

*Jak bez zakorzenienia we własnej tożsamości i kulturze znajdziesz światło, kiedy dopadnie cię kryzys? Kultura daje odporność i dumę. Kultura daje wyobrażenie o tym, gdzie jesteście i dokąd chcecie dojść*
mówi duński futurolog Henrik von Scheel

*Analiza* / M**6**

## Twórczość się liczy

*Polska popkultura wyrobiła sobie za granicą rozpoznawalną markę. Zrobiła to bez szukania rozgłosu i narodowego napinania muskułów, oferując odbiorcom świeże i oryginalne produkcje*
pisze Piotr Wójcik

DGP.pl DZIENNIK GAZETA PRAWNA NR 88 (6757), 8–10 MAJA 2026, CENA 11,90 ZŁ (W TYM 8% VAT), ISSN 2080-6744

eprasa.pl 1db1d53a52

*Świat* / M**8**

## Operacja „Wołyń”

*Narzędzia analizy treści publikowanych w internecie dowodzą, że temat zbrodni wołyńskiej jest celowo podgrzewany przez rosyjskie media propagandowe*
analiza Michała Potockiego

*Nauka* / M**18**

## Niespełniony trip

*Po latach napiętnowania psychodelikami znów zainteresowała się medycyna. Jednak wieszczony przełom w leczeniu zaburzeń psychicznych nie nadszedł*
pisze Emilia Świętochowska

FOT. WOJTEK GÓRSKI

# To nie konflikt racjonalizmów, lecz straszenie nas

*Jan* Wróbel

Republika Federalna Niemiec się zbroi. Plany są ambitne. Jednocześnie jej relacje z USA pogarszają się, choć nie sposób określić, czy amerykańska strategia dzielenia Europejczyków na dobrych i złych utrzyma się po odejściu Donalda Trumpa. Nie wiemy nawet, czy Trump nie ogłosi jutro, że powstanie Rada Wojennego Pokoju z udziałem USA, Izraela i Niemiec. W samej RFN pozytywnie pracę rządu kanclerza Merza ocenia tylko 11 proc. Niemców (dane podał w mijającym tygodniu Instytut Forsa). Liderem sondaży jest prorosyjska Alternatywa dla Niemiec (AfD), gotowa także do dyskusji nad kształtem granic państwa. Stabilność była przez dekady znakiem rozpoznawczym niemieckiej polityki – i tak już nie będzie.

Poniekąd podobnie możemy mówić o Polsce. Mamy dobre relacje z prezydentem USA, ale nie wiemy, czy z niedającego się przewidzieć powodu ten przywódca Zachodu znienacka nas nie porzuci. A też każde wybory parlamentarne mogą u nas przynieść zasadniczą zmianę kursu polityki zagranicznej. Mimo to mamy ambicję, by coś znaczyć w Europie. I zbroimy się na potęgę.

Jaka zatem będzie sytuacja naszej części świata za – powiedzmy – 10 lat? USA zajęte innymi sprawami, Europa, w której wróci do łask rywalizacja oparta na kryterium siły militarnej, trudne sąsiedztwo niemiecko-polskie – to scenariusz, o którym pisze się uczenie: wysoce prawdopodobny.

Mamy w Polsce konflikt dwóch racjonalizmów. Jeden mówi, że skoro nadchodzą niestabilne lata, lepiej obstawić Niemcy. Jeżeli te chcą przebudowywać Europę, to proszę – możemy to robić razem z nimi. Tak, grozi nam to wasalizacją. Jednak otwiera też opcję partnerstwa we wspólnym rozpychaniu się na kontynencie. Drugi mówi, by Niemcy blokować, a szukać dla Polski lewara w postaci innego potężnego sojusznika – na razie nie ma lepszego niż Waszyngton. Tak, grozi to sprowadzeniem do roli pacynki poruszanej przez ambasadora USA. Zarazem otwiera szansę na grę o status niezbędnego sojusznika Stanów Zjednoczonych.

Tyle że narracja, którą przedstawia polityczny mainstream, to nie konflikt racjonalizmów, lecz straszenie nas. Berlinem albo Waszyngtonem, jak komu pasuje. ©℗

FOT. URIEL SINAI/GETTY IMAGES

*Świat* / M**14**

## Państwo skrajności

*Niemal 2 mln Izraelczyków – w tym 900 tys. dzieci – żyje poniżej granicy ubóstwa. Bieda dotyka głównie Arabów, ultraortodoksyjnych Żydów i seniorów*
zauważa Nina Nowakowska

DGP Więcej niż gazeta: wideo, podcasty, analizy na DGP.pl

DGP | Magazyn na Weekend

Redakcja:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40
e-mail: dgp@infor.pl

Redaktor naczelny: Tomasz Pietryga

Zastępcy redaktora naczelnego:
Łukasz Guza, Łukasz Wilkowicz

Dział Dodatków Poradniczych:
Monika Bugaj-Wojciechowska

Magazyn:
Anna Masłoń (kierownik),
Piotr Czarnowski, Emilia Świętochowska, Maciej Weryński

Kraj, Świat i Gospodarka:
Michał Potocki

Opinie: Marcin Kube

Podatki i Księgowość:
Katarzyna Jędrzejewska,
Marcin Mroziuk (tygodnik PiK),
Magdalena Sobczak (tygodnik RiA)

Samorząd i Administracja oraz Kadry i Płace:
Urszula Mirowska-Łoskot,
Joanna Pieńczykowska-Rybaczyk (tygodnik SiA), Leszek Jaworski (tygodniki KiP i UiŚ)

Firma i Prawo oraz Prawnik:
Małgorzata Kryszkiewicz,
Izabela Rakowska-Boroń
(tygodnik FiP)

Projekt graficzny:
Marek Knap,
Adam Głowacki

Centrum Reklamy
tel. 22 530 44 44
e-mail: reklama@infor.pl

Dyrektor Centrum Reklamy:
Marcin Ośmiałowski

Dyrektor Marketingu:
Krystyna Wieczorkiewicz

Wiceprezes Zarządu:
Marcin Krawczak

Biuro Opiekunów Klienta:
ul. Burakowska 14
01-066 Warszawa
tel. 22 761 30 30,
801 626 666
e-mail: bok@infor.pl

Partnerskie biura ogłoszeń:
Mariusz Zarzycki
tel. 519 061 309

Druk:
Seregni Printing Group S.A.

Wydawca Dziennika Gazety Prawnej:
INFOR PL S.A.
ul. Burakowska 14,
01-066 Warszawa
tel. 22 530 40 40

Grupa INFOR PL
Prezes zarządu: Ryszard Pieńkowski

Zamówienia na prenumeratę przyjmują:
Kolporter,
Garmond Press,
GLM, AS Press
oraz urzędy pocztowe

Informacje o prenumeracie:
tel. 22 761 30 30
dgp.pl/prenumerata

Redakcja zastrzega sobie prawo do redagowania i skracania tekstów. Rozpowszechnianie materiałów redakcyjnych zarówno w formie elektronicznej, jak i papierowej bez zgody wydawcy jest zabronione.

Materiały oznaczane jako: artykuły sponsorowane, prezentacje, cykle, teksty promocyjne, reklama, materiały partnera, materiały na zlecenie, materiały powstałe przy współpracy z (...), subiektywnie, debata, partner, organizator, nazwą wydarzenia (np. Perły Samorządu), partner wydania oraz inne o tożsamym charakterze stanowią materiały reklamowe w rozumieniu art. 36 ustawy z dnia 26 stycznia 1984 r. – Prawo prasowe.

© – znak zastrzeżenia praw autorskich; ℗ – znak odpłatności; ©℗ – dwa znaki przy artykule oznaczają możliwość jego dalszego wykorzystania wyłącznie po uiszczeniu opłaty zgodnie z cennikiem (www.gazetaprawna.pl/licencje) i w zgodzie z Regulaminem korzystania z artykułów prasowych

eprasa.pl 1db1d53a52

# Tożsamość źródłem innowacji

RYS. PATRYK KOCH, FOT. REDKOALA/ADOBE STOCK, DZIEWUL/SHUTTERSTOCK

**Jak bez zakorzenienia we własnej tożsamości i kulturze znajdziesz światło, kiedy dopadnie cię kryzys? Kultura daje odporność, dumę, ambicję. Kultura daje wyobrażenie o tym, gdzie jesteście i dokąd chcecie dojść**

*Z Henrikiem*

## von Scheelem

*rozmawia* Sebastian Stodolak

**Z perspektywy kogoś, kto dorastał w jednym z najbogatszych oraz najbardziej rozwiniętych krajów Europy – Danii, a dziś mieszka w Szwajcarii: jak wygląda dzisiejsza Polska?**

Liczy pan na naprawdę szczerą odpowiedź?

**Oczywiście.**

Mówię jako Duńczyk: zawsze postrzegaliśmy Polskę, podobnie jak Łotwę, jako część kręgu nordyckiego. Podobna kultura i podobna mentalność. Obserwowaliśmy wasze wychodzenie z komunizmu, wejście do Unii Europejskiej. Wtedy widzieliśmy w was tanią siłę roboczą. Dziś nie jesteście już ludźmi, którzy przyjeżdżają wykonywać tanie prace budowlane. Jesteście ludźmi, którzy dostarczają jakość.

**Tak, byliśmy postrzegani jako zagrożenie – polska tania siła robocza miała zalać Zachód.**

To był dla was naturalny etap rozwoju. Przeszliście go z sukcesem i – na dodatek – wasz potencjał się jeszcze nie wyczerpał.

**Nie? Oto 100 euro. Gdyby miał pan je zainwestować w krajach UE, jaka część trafiłaby do nas?**

33 proc. otrzymałaby Polska i 33 proc. kraje skandynawskie. Więcej w UE bym już nie inwestował. Pomyślałbym jeszcze o Turcji. Według mnie to właśnie te trzy regiony dzisiaj mają najlepsze perspektywy. Turcja rośnie, choć jest trochę w połowie drogi – częściowo wewnątrz europejskiego porządku, a częściowo poza nim. Z kolei Polska notuje stabilny wzrost i wchodzi w fazę ekspansji międzynarodowej.

**I skąd ta polska rozwojowa stabilność się bierze?**

Z silnej bazy produkcyjnej. Nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydaje się, że rosną głównie banki i firmy technologiczne, nie jest to pełny obraz. Prawdziwy fundament wzrostu tkwi w produkcji. Do tego macie własny rynek konsumencki – wystarczająco duży, żeby się rozwijać na jego podstawie.

**W Polsce mamy dwie konkurujące ze sobą narracje na temat gospodarki. Pierwsza: sukces. Druga: nie jesteśmy nowocześni, tylko montujemy, nie tworzymy. Która z nich bardziej do pana przemawia?**

Przesuwacie się w łańcuchu wartości na coraz wyższą pozycję. ▷

eprasa.pl 1db1d53a52

Na początku byliście dostawcą drugiego rzędu. Potem jednak zbudowaliście własne linie produkcyjne i staliście się dostawcami pierwszego rzędu. Bosch nie jest już wyłącznie w Niemczech. Europejski łańcuch dostaw został przeprojektowany geograficznie na waszą korzyść. Czy to siła? Tak. Czy możecie być dumni? Tak. Polska przeżywa prawdopodobnie najlepszy okres w swojej historii. Macie lepszą żywność niż kiedykolwiek. Macie lepszą edukację, opiekę zdrowotną i więcej pieniędzy. Żadne pokolenie w historii Polski nie było tak obdarowane przez los jak dzisiejsze. Ale ten stan nie będzie trwał wiecznie. Żyjecie z ziarna zasianego 35 lat temu. Teraz nowe pokolenie musi znaleźć nowy sposób na innowacje, nową ścieżkę rozwoju – bo inaczej skończycie w stagnacji jak Niemcy.

**Co może być tym motorem? Teraz wszyscy stawiają na AI.**

Sztuczna inteligencja nie jest sama w sobie wielką rewolucją. AI to oprogramowanie, które automatyzuje zadania. To jednak podglebie dla prawdziwych zmian. Ale pyta mnie pan, czy Polska może zarobić na sztucznej inteligencji, w jakiej jest ona dziś prezentowana, czyli jako wielkie modele językowe?

**Tak.**

Nie sądzę.

**Bo?**

Jeśli chcecie naprawdę stworzyć coś unikatowego, to wasza ścieżka rozwoju powinna prowadzić gdzie indziej. Około 2030 r. nadejdzie biorewolucja, a w Polsce macie już firmy drugiego i trzeciego rzędu z tego sektora. Trzeba je połączyć i powiedzieć: chcemy gromadzić dane biomolekularne oparte na AI, bo to jest warte wielokrotnie więcej niż wielkie modele językowe.

**A jednak nasz rząd chce inwestować miliardy w rozwój AI.**

Nie sądzę, by w tej konkurencji udało się wam zająć istotne miejsce. Raczej musicie odpowiedzieć sobie na pytanie, czego właściwie chcecie? Bo jeśli chcecie przestać być klientem, musicie dostrzec, że przyszłość to inteligentne materiały, nowoczesne rolnictwo i żywność, oparte na sensorach biosystemy łączące robotykę i ludzi. Drzwi do tej przyszłości stanowią właśnie dane biomolekularne.

**I kto ma ten kierunek wyznaczać i realizować? Politycy?**

Nie. Innowacja nie rodzi się w polityce. Innowacje to rynek. To młodzi przedsiębiorcy i inwestorzy muszą podejmować decyzje, tworzyć pomysły i pchać tę przyszłościową agendę do przodu. W tym wszystkim ważne jest jednak, byście mieli świadomość, że tworzycie i sprzedajecie nie tylko produkty i usługi, lecz także samych siebie – waszą tożsamość.

**To znaczy?**

To, co uczyniło was silnymi i wciąż czyni, to duma z bycia Polakami. To się czuje, gdy się z wami obcuje. Jesteście dumnym narodem. Wiele wycierpieliście i wiele przeszliście, ale właśnie dlatego jesteście odporni. Razem jesteście silni. Jeszcze.

**Jeszcze?**

Tak. Bo ta wspaniała polskość jest czymś, co zaczynacie już powoli tracić. Ma pan dzieci?

**Tak, 11-letnią córkę.**

Czy ma już konta w mediach społecznościowych?

**Jeszcze nie.**

To dobrze. Bo media społecznościowe izolują ludzi od własnej tożsamości, a z kolei lokalna kultura, w którą zanurzamy się analogowo, łączy ludzi. Kiedy jedziesz przez Polskę, widzisz, że każde miasto ma swoją wersję zupy, swoją wersję zwyczajów. Pańska matka nauczyła się od swojej matki, jak żyć, jak gotować, jak myśleć. To taka „księga tradycji". Babcia przekazała ją pańskiej matce, matka przekazała ją panu, a pan przekazuje dziecku. Dziś jednak tę „księgę tradycji" przenosimy do internetu. A to oznacza, że kultura zaczyna się rozpadać. Tracimy kulturę czułości, kulturę więzi, element, który nas spaja. A to przecież kultura daje nam zdolności rozwojowe. Jesteś twardy w pracy, masz odporny umysł, jesteś kreatywny – i dzięki temu, zamiast być tylko konsumentem, możesz krok po kroku rozwijać swoją produkcję.

**To brzmi ładnie, ale mało konkretnie.**

Innowacja rodzi się z różnorodności, a globalizacja wszystko standaryzuje. Nawiasem mówiąc, AI również dąży do standaryzacji – standaryzacji informacji. Tożsamość narodowa to w tym sensie prawdziwe źródło innowacji. Jesteście różni jako Polacy, ale macie jedno spoiwo. Jesteście np. katoliccy – niekoniecznie w sensie wiary, ale w sensie pewnych standardów dotyczących tego, jak traktujecie siebie nawzajem, jak chcecie działać, jak odnosicie się do starszych. Kultura się zmienia, ale ta „księga", która łączy cię z następnym pokoleniem, ta więź, trwa. Jeśli wiesz, kim jesteś, możesz tworzyć. A jeśli nie wiesz i chodzi ci tylko o pieniądze, możesz po prostu pojechać do Stanów Zjednoczonych. (śmiech)

**To ciekawe słyszeć te rzeczy od pana. Na Zachodzie rzadko mówi się w ten sposób o rozwoju społeczeństwa i gospodarki.**

I gdy przychodzi krach, ludzie nie wiedzą, co robić. Jak bez zakorzenienia we własnej tożsamości i kulturze znajdziesz światło, kiedy dopadnie cię kryzys? A dopadnie każdego. Kultura daje odporność, dumę, ambicję. Kultura daje wyobrażenie o tym, gdzie jesteście i dokąd chcecie dojść.

> Media społecznościowe izolują ludzi od własnej tożsamości, a z kolei lokalna kultura, w którą zanurzamy się analogowo, łączy ludzi

**Mówi pan, że polska tożsamość narodowa jest zagrożona. A jeśli porównać nas z krajami Europy Zachodniej?**

Ten proces jest tam dalece bardziej zaawansowany. Każda „prawda" zaczyna być traktowana jako równoważna. A to fałsz. To także wynik – po części – cyfryzacji, która izoluje ludzi od siebie.

**Chwila. Z jednej strony promuje pan innowacje, z drugiej – je krytykuje. Jak to pogodzić?**

W 2008 r. wszyscy zachłysnęli się cyfryzacją. Dziś UE zaczyna mówić, że osoby przed 16. rokiem życia nie powinny korzystać z mediów społecznościowych. Dlaczego? Bo wiadomo, że to szkodzi młodym ludziom właśnie w okresie, gdy kształtuje się ich tożsamość. Tożsamości nie buduje się w mediach społecznościowych. Tożsamość buduje się, patrząc na ojca, matkę, przyjaciół i lokalną społeczność. Ja krytykuję konkretne użycia innowacji, nie innowację samą w sobie.

**Mówi pan: tożsamość narodowa. Niektórzy w Polsce się ucieszą. Ale istnieje też inna opowieść – unijna. Ona mówi: narodowe podziały niespecjalnie nam służą. Oczywiście, powinniśmy szanować każdą kulturę i każdy naród, ale nadmierne skupianie się na nich jest niezdrowe. Dlatego potrzebujemy standaryzacji w skali całej Europy.**

UE była umową handlową. Teraz Unia bierze się do obronności, do kolejnych obszarów polityki i do coraz większej liczby spraw. A wie pan, co przez to niszczy? Zdolność każdego kraju do podejmowania własnych decyzji. Siła konkurencyjności i wzrostu bierze się właśnie z tego, że wszyscy są różni. Siła rodziny polega na tym, że wszyscy są różni. Unia powinna być taką rodziną.

**Dlaczego eurokraci tego nie rozumieją?**

Każda władza grawituje w stronę zwiększania swoich kompetencji. Weźmy przykład cyfrowej waluty banku centralnego (CBDC). W tym modelu władza zostaje odebrana krajowym rządom i przesunięta na poziom Europejskiego Banku Centralnego. Nagle okazuje się, że wszyscy są kontrolowani z jednego miejsca. A przecież dotąd kontrola opierała się na tym, że Polska jest suwerenna w zakresie własnej bankowości centralnej. Uważam, że CBDC to duże zagrożenie.

**Możliwy jest powrót do sytuacji, w której Unia byłaby po prostu umową handlową?**

Mam nadzieję. Trzeba zostawić więcej decyzyjności na poziomie państw członkowskich.

**Jak zdefiniować optimum w relacjach z Brukselą?**

Kluczowe jest to, by rządy mogły Brukselę w jej apetycie na władzę powściągać. W pewnym momencie ktoś musi powiedzieć: „Przepraszam, macie 10 kg za dużo. Musicie schudnąć". Albo: „Przepraszam, nie macie już budżetu na kolejne działania". Dziś w Unii nie ma nikogo, kto by to powiedział.

**Ale czy krajowym politykom można ufać? Oni też robią wszystko, by mieć coraz więcej władzy. Pan mówi o tym, żeby więcej decyzji zapadało lokalnie. Politycy będą to interpretować tak: „My musimy mieć więcej władzy", a nie: „Musimy dać więcej władzy obywatelom". Stąd np. w Polsce biorą się takie idee, jak local content, mówiące, że musimy budować wszystko lokalnie, używać naszych firm, naszych materiałów, ale przede wszystkim robić to przez spółki Skarbu Państwa.**

Innowacja nie pochodzi z zarządzania przez sektor publiczny. Innowacja pochodzi z sektora prywatnego. Rodzi się z realnej potrzeby, którą może odkryć tylko prywatny przedsiębiorca.

**Czyli nie wierzy pan w koncepcję państwa przedsiębiorczego?**

Nie. Stał się pan mężczyzną, kiedy został pan ojcem. Dlaczego? Bo stał się pan za kogoś odpowiedzialny. Ta odpowiedzialność stworzyła w panu potrzebę, by się zorganizować i działać. Z innowacją jest tak samo – musi istnieć głęboka bezpośrednia odpowiedzialność za efekt. Dlatego innowacja nie może być projektem sektora publicznego, w którym ktoś mówi: „Dobrze, dzisiaj ty odpowiadasz za innowacje". Z tego nigdy nie wyjdzie prawdziwa innowacja.

**Politycy, zwłaszcza na poziomie Unii Europejskiej, często mówią: „Nie chcemy wam dokładnie nakazywać, co macie robić, ale chcemy was nakierować we właściwą stronę". Czy to jest dobre podejście?**

Intencje a efekt to dwie różne kwestie. Spójrzmy na politykę klimatyczną. Byłem w UE doradcą ds. klimatu w zakresie m.in. porozumienia paryskiego. Przyszliśmy z propozycją, ona została przedstawiona, potem przez dwa, trzy, cztery, pięć lat była trawiona politycznie. Pierwotny pomysł był prosty: pobierajmy opłatę za emisje $CO_2$. Jedno euro niech idzie na administrację, dziewięć na środowisko. A co wyszło po przejściu przez unijną administrację? Dziewięć euro idzie na administrację i by sfinansować inne wydatki niż środowiskowe, jedno euro na środowisko. Tak, wyolbrzymiam, ale to są naprawdę ogromne koszty. Jeśli przedsiębiorstwa wysyłają produkty za granicę albo sprowadzają produkty, muszą najpierw stworzyć raport. Muszą ocenić cały łańcuch dostaw: kto produkuje, gdzie produkuje, jak produkuje. Potem muszą go zwalidować, czyli zatrudnić

eprasa.pl 1db1d53a52

osobę, która go sprawdzi. Cała praca, której wcześniej nie było, pojawia się tylko po to, by produkować dokumenty. Najbardziej absurdalne w tym jest to, że wydajesz pieniądze na raport o własnej firmie, a potem ten raport stwierdza, że jesteś klimatycznym grzesznikiem, więc musisz kupić kredyt węglowy tak drogi, że nie stać cię już będzie na inwestycje. W praktyce jesteś z góry ustawiony jako grzesznik na kolejne pięć lat, zanim jeszcze cokolwiek poprawisz. To naprawdę nie pomaga w rozwoju.

**Co więc zrobiłby pan, gdyby miał realną możliwość zmiany tej polityki?**

Skupiłbym się na transporcie i produkcji. Powiedziałbym przedsiębiorcom: „Słuchajcie, wy najlepiej wiecie, co możecie poprawić. Pokażcie, jak możecie to zrobić. A każdego roku, w którym realnie się poprawiacie, dostajecie ulgę podatkową". Gwarantuję, że firmy zaczęłyby redukować emisje $CO_2$. Dzisiaj zamiast je do tego zachęcać, karzemy je. Muszą mierzyć, oceniać, raportować, ale nie mają już pieniędzy na ulepszenia.

**Nasz rząd sprzeciwia się wdrożeniu mechanizmu ETS2. Płyniemy więc pod prąd, jeśli chodzi o kierunek regulacyjny Unii. Niektórzy w Polsce powiedzą: „To bardzo złe, bo sprzeciwiając się tym dyrektywom, podważamy projekt europejski".**

Dyrektywy europejskie wyznaczają kierunek. Polska ma jednak dużą swobodę w tym, jak je wdraża. Polski parlament zatem może po prostu powiedzieć: „Nie uważamy, że to prawo służy naszemu wzrostowi gospodarczemu, więc głosujemy za zawieszeniem wdrożenia na pięć lat".

**Ale wtedy zapłacimy kary.**

I to jest właśnie bilans, który trzeba przeprowadzić: czy kara opłaca się bardziej niż wdrożenie... Każdy kraj UE ma prawo do samodecydowania. Grzywna to sprawa sądowa. Zatrudniasz prawników i bronisz swojego stanowiska. Co więcej, europejskie regulacje nie działają zawsze tak samo jak klasyczne prawo krajowe – często są raczej aktem, umową, uzgodnionym kierunkiem działania.

**Czy ja dobrze słyszę: sugeruje pan walkę z UE w sądach jako rozwiązanie systemowe?**

Nie. To ostateczność. Tak, wiem, że w UE, gdy ktoś nie zgadza się z głównym nurtem, natychmiast pojawia się narracja: „To są ci źli". Unia mówi, że ceni różnorodność, ale gdy chodzi o różnorodność opinii, okazuje się, że nie do końca. Tymczasem przecież fundamentem rozwoju i demokracji jest to, że ty masz opinię i ja mam opinię i wcale nie musimy się zgadzać – ale powinniśmy ze sobą rozmawiać. Jeśli Polska mówi: „Tak, chcemy wdrożyć te elementy, ale trzech pozostałych nie uważamy za zgodne z naszym interesem narodowym", powinna mieć do tego prawo. Dlaczego? Bo polski rząd odpowiada przed polskim wyborcą, przed własnymi obywatelami, a nie przed europejskim urzędnikiem.

**To fakt, że przez ostatnie 36 lat naprawdę rozwijaliśmy się na wielu płaszczyznach, nie tylko gospodarczo. Chcemy to utrzymać, ale mamy poczucie, że paliwo, które nas dotąd napędzało, może się kończyć. Co mogłoby być naszym paliwem na przyszłość – oprócz biotechnologii?**

Polska musi się skupić na pięciu kluczowych rzeczach. Po pierwsze: dźwignia aktywów i dostęp do kapitału. Musicie powiązać swoje aktywa z realnym rynkiem, czyli z produkcją. Musicie powiązać je z handlem i mieć własne banki zdolne do inwestowania w gospodarkę. Jeśli nie ma kapitału, nie będzie przyszłego wzrostu. Po drugie: innowacja i wzrost muszą w Polsce wychodzić z sektora przemysłowego. Z energii, produkcji i realnej gospodarki. Technologia sama w sobie nie jest rozwiązaniem. Technologia nie ma wartości, jeśli nie wiadomo, jak ją zastosować. Po trzecie: jeśli chcesz innowacji, musisz się różnić. Jeśli Unia wyznacza główny nurt, Polska powinna iść pod prąd. Idąc pod prąd, pielęgnujecie czwarty element: własną dumę. Osiągnęliście już bardzo dużo, ale potrzebujecie wizji, która prowadzi dalej. Ta wizja nie może polegać na siedzeniu przy stole i byciu tak dobrymi jak inni. Musicie być co najmniej tak dobrzy jak inni, a najlepiej lepsi. I wreszcie piąty element: człowiek musi być w centrum wszystkiego, co robicie. Polacy są Polakami dlatego, że handlują ze sobą, rozmawiają ze sobą, jedzą razem i wspierają się nawzajem. ©℗

Autor jest wiceprezesem Warsaw Enterprise Institute

FOT. MAT. PRASOWE

*Henrik*
**von Scheel**
duński futurysta i badacz, jeden ze współtwórców koncepcji Przemysłu 4.0

TEKST PROMOCYJNY

PANORAMA GOSPODARCZA

# Wirtualne Kasy Fiskalne: bezpieczeństwo i odporność biznesu w czasach niepewności

**Cyfrowa fiskalizacja przestaje być jedynie wygodnym dodatkiem dla przedsiębiorców. W realiach zakłóconych łańcuchów dostaw, rosnących cen komponentów i potrzeby ciągłości działania staje się strategicznym narzędziem bezpieczeństwa. Jak podkreśla Jakub Jasnos, CEO Wirtualne Kasy Fiskalne S.A., rozwiązania programowe mogą dziś skutecznie zastępować tradycyjne urządzenia, oferując większą elastyczność, niższe koszty i mniejsze ryzyko operacyjne.**

WIRTUALNE KASY FISKALNE

**Cyfrowa alternatywa, która wzmacnia stabilność firm**

Jeszcze kilka lat temu tradycyjna kasa fiskalna była oczywistym elementem prowadzenia sprzedaży. Dziś coraz wyraźniej widać, że model oparty wyłącznie na dedykowanym sprzęcie ma swoje ograniczenia. Wirtualne Kasy Fiskalne, działające jako oprogramowanie instalowane na komputerze, tablecie, czy smartfonie eliminują wiele barier związanych z zakupem, serwisem i logistyką urządzeń fizycznych.

To oznacza dla przedsiębiorców nie tylko wygodę, ale również realne oszczędności. Nie ma konieczności inwestowania w kolejne terminale czy klasyczne kasy, a samo wdrożenie może przebiegać szybciej i taniej. Szczególnie istotne jest to dla dużych sieci handlowych i usługowych, dla których jednostkowa oszczędność – pomnożona przez liczbę stanowisk sprzedażowych – przekłada się na wymierny efekt finansowy. Dodatkową korzyścią jest zmiana modelu finansowania: zamiast wysokiego jednorazowego wydatku inwestycyjnego na kilka lat, przedsiębiorcy mogą korzystać z relatywnie niewielkich opłat miesięcznych, co istotnie poprawia płynność i cashflow. Obecnie potencjał tego rozwiązania pozostaje jednak częściowo ograniczony, ponieważ możliwość stosowania kas wirtualnych nadal dotyczy wybranych branż.

**Bezpieczeństwo potwierdzone regulacjami i technologią**

Jednym z najczęściej podnoszonych pytań wobec rozwiązań software'owych pozostaje kwestia bezpieczeństwa. Jak zaznacza prezes spółki, Wirtualne Kasy Fiskalne podlegają rygorystycznym procedurom homologacyjnym oraz szczegółowym testom zgodności z wymaganiami państwa. Oprogramowanie musi spełniać te same standardy fiskalne, co urządzenia sprzętowe.

Dodatkowym zabezpieczeniem jest bieżące przesyłanie danych do centralnych systemów administracji skarbowej. Oznacza to większą transparentność obrotu i ograniczenie możliwości nadużyć. W praktyce cyfrowy model może być nawet skuteczniejszy niż tradycyjny, ponieważ pozwala na szybszą analizę danych oraz automatyczne wychwytywanie nieprawidłowości.

– Argument, że rozwiązania wirtualne są mniej bezpieczne, jest chybiony. Każdy model ma swoje podatności, ale system online znacząco ogranicza pole do nadużyć – podkreśla Jakub Jasnos.

**Odpowiedź na kryzys komponentów i zerwane łańcuchy dostaw**

Najmocniejszym argumentem za cyfrową fiskalizacją staje się dziś odporność operacyjna. Pandemia COVID-19 pokazała, jak szybko mogą zniknąć z rynku półprzewodniki i podzespoły elektroniczne. W ostatnich latach podobne napięcia wywołał gwałtowny wzrost popytu na pamięci komputerowe wykorzystywane w sektorze AI.

W efekcie produkcja urządzeń sprzętowych staje się droższa, wolniejsza i bardziej podatna na globalne turbulencje. Tymczasem kasa wirtualna może działać na powszechnie dostępnych urządzeniach ogólnego przeznaczenia. Smartfon, tablet czy komputer są znacznie łatwiejsze do pozyskania niż specjalistyczny hardware.

To zmniejsza ryzyko przestojów i daje firmom większą ciągłość działania. W świecie napięć geopolitycznych, problemów transportowych i presji kosztowej właśnie taka elastyczność może przesądzać o przewadze konkurencyjnej. Wirtualne Kasy Fiskalne stają się więc nie tylko nowoczesnym narzędziem sprzedaży, ale także elementem strategii bezpieczeństwa przedsiębiorstwa.

**Bartosz Parchoniuk**

https://panorama-gospodarcza.gazetaprawna.pl/

eprasa.pl 1db1d53a52

# Twórczość się liczy

**Polska popkultura wyrobiła sobie za granicą rozpoznawalną markę. Zrobiła to bez szukania rozgłosu i narodowego napinania muskułów, oferując odbiorcom świeże i oryginalne produkcje**

*Piotr*

## Wójcik

Możliwość zarabiania dużych pieniędzy na twórczości nie jest zarezerwowana tylko dla państw najwyżej rozwiniętych, w których większość bogactwa wytwarzają inne, „poważne" gałęzie. Stosunkowo biedna Jamajka zrobiła z muzyki swój flagowy towar eksportowy. Duży popyt na krajowe dobra kultury nie zależy również od globalnej znajomości lokalnego języka, choć niewątpliwie go ułatwia. Po koreańsku nie mówi niemal nikt poza mieszkańcami Półwyspu Koreańskiego, a jednak K-pop stał się światowym fenomenem. Krajowa sztuka i rozrywka mogą się również stać ważnym elementem polityki międzynarodowej, wspierając soft power i zwiększając globalną rozpoznawalność państwa.

Przemysły kultury i kreatywne rozwijają się najlepiej wtedy, gdy władza zapewnia twórcom jedynie podstawowe zabezpieczenia socjalne i daje wsparcie finansowe początkującym lub reprezentującym mniej komercyjne dziedziny, ale w zasadzie trzyma się od tych branż z daleka. Przykład? Współczesne rosyjskie kino święciło triumfy na przełomie wieków, gdy swoboda pracy twórczej była nad Wołgą jeszcze całkiem szeroka. Po aneksji Krymu w 2014 r. syndrom oblężonej twierdzy na Kremlu wszedł już na całkowicie nieznośny poziom i dzisiaj nikt nie pozwoliłby Aleksiejowi Bałabanowi nakręcić genialnego „Ładunku 200". Hojnie dofinansowywane przez państwo epickie epopeje mało kto poza Rosją chce oglądać. Tak się złożyło, że akurat patos sprzedaje się głównie w wykonaniu Anglosasów, co jednak nie oznacza, że mniejsze narody nie mogą znaleźć swoich całkiem atrakcyjnych nisz. Na szczęście Polska takie miejsca sobie znalazła.

## Mnożnik twórczości

Według GUS w 2024 r. liczba podmiotów gospodarczych zaliczanych do CCS (ang. cultural and creativity sectors) wzrosła o 16 proc. rok do roku. Na koniec 2024 r. było ich prawie 144 tys. Najwięcej działało w dziedzinie sztuk wizualnych (malarstwo, rysunek, rzeźba, fotografia) – 27 proc. Niespełna jedna czwarta (24,4 proc.) zajmowała się reklamą, ponad 15 proc. architekturą, a 12 proc. sztuką audiowizualną i multimediami. Co dziesiąty podmiot gospodarczy polskiego CCS działał w dziedzinie literatury i prasy pisanej, a 7 proc. w sferze sztuk performatywnych. Przychody przedsiębiorstw kulturalno-kreatywnych wyniosły niemal 116 mld zł, co oznacza wzrost o ponad jedną dziesiątą w stosunku do roku poprzedniego. Niestety koszty wzrosły o ponad 13 proc., w wyniku czego zyski wyniosły 16,5 mld zł, czyli o 300 mln zł mniej niż w 2023 r. O 300 mln wzrosła za to wartość dodana wytworzona przez ten sektor – sięgnęła niecałych 33 mld zł, co stanowiło 1,5 proc. wartości wypracowanej przez wszystkie przedsiębiorstwa niefinansowe.

Jak w każdej gałęzi gospodarki, także w kulturze najbardziej zyskowne są największe podmioty. Mikroprzedsiębiorstwa CCS wygenerowały 45 proc. wartości dodanej sektora, chociaż stanowią niemal 80 proc. wszystkich podmiotów w branży. Duże przedsiębiorstwa, które stanowią niecałe 9 proc. ogółu, odpowiadały za ponad 28 proc. wytworzonej wartości.

Na tle Unii Europejskiej wypadamy przeciętnie. Według Eurostatu, który traktuje przemysły kultury i kreatywne szeroko, włączając w nie również m.in. wypożyczalnie i punkty sprzedaży detalicznej, w 2024 r. w polskim CCS pracowało 597 tys. osób, czyli 3,5 proc. ogółu zatrudnionych. Średnia unijna wynosiła 3,8 proc., natomiast w innych dużych państwach ten odsetek oscylował wokół 4 proc. (Niemcy – 3,9 proc., Francja – 4,4 proc., Hiszpania – 3,7 proc.). Polskie wydatki publiczne na kulturę i rekreację wyniosły 1,3 proc. PKB, czyli minimalnie więcej niż średnio w UE (1,2 proc.), ale kategoria ta obejmuje również wszelkie dotacje dla Kościołów i organizacji religijnych, więc dla Polski wynik może być zawyżony.

Pod względem wpływu na gospodarkę polska kultura również plasuje się w środku stawki. Według raportu Polskiego Instytutu Ekonomicznego „Rola przemysłów kreatywnych w gospodarce i możliwości wsparcia publicznego", badającego CCS bez placówek dystrybucji detalicznej, tuż przed pandemią kultura i kreatywność wnosiły ponad 1,5 proc. PKB, co stawiało Polskę na 12. miejscu w UE. Zanotowaliśmy jednak największy spadek w stosunku do 2010 r., gdy sektor ten zapewniał ponad 2 proc. PKB, co plasowało nas w ścisłej czołówce. Pandemia niestety znów nieco ograniczyła wartość dodaną polskiego CCS (1,4 proc. w 2021 r.).

Polski sektor kultury charakteryzuje się jednak wysokim wpływem bezpośrednim i pośrednim na inne branże. Wpływ bezpośredni oznacza wartość dodaną wygenerowaną dzięki zleceniom od podmiotów CCS. PIE daje przykład drukarni, która sprzedaje wydawcy książek usługę druku za 1 tys. zł, ponosząc przy tym koszty 600 zł, co daje 400 zł wartości dodanej wygenerowanej przez bezpośredni wpływ CCS. Wpływ pośredni to wartość wytworzona przez dostawców materiałów i towarów dla drukarni, która powstała dzięki temu, że wcześniej wydawnictwo zleciło druk książki. W oszacowaniu obu rodzajów wpływu polskiego CCS na całą gospodarkę nad Wisłą autorzy raportu posłużyli się metodyką przepływów międzygałęziowych. Jak wylicza PIE, każda złotówka wartości dodanej wytworzonej w CCS dawała wpływ w wysokości 2,64 zł wartości dodanej we wszystkich działach gospodarki – 1 zł w CCS + 1,64 zł w innych branżach. W rezultacie kultura i kreatywność wnosiły do gospodarki łącznie 3,6 proc. PKB, co plasowało Polskę na 3. miejscu wśród 15 przeanalizowanych państw UE, po Cyprze (8,9 proc.) i Chorwacji (3,7 proc.), a minimalnie przed Szwecją (3,5 proc.).

Wbrew pozorom to wcale nie jest dobra wiadomość dla pracowników sektora kultury w Polsce, gdyż tak duża różnica między własną wartością dodaną a tą liczoną włącznie z wpływem na inne branże oznacza, że polskie podmioty działające w tej sferze ponoszą wysokie koszty materiałów i usług, a dużą część ich wytworzonej wartości przechwytują pośrednicy. Pokrywa się to z doświadczeniami chociażby wydawców książkowych – dominujący w Polsce dystrybutorzy przejmują zwykle około połowy ceny okładkowej. Nic więc dziwnego, że według PIE największy mnożnik wpływu wśród działów sektora CCS w Polsce występuje w branży reklamowej i właśnie działalności wydawniczej.

## Kreatywny prekariat

Wysoki wpływ na inne sektory oznacza, że dzięki działalności twórczej i artystycznej powstają miejsca pracy w innych branżach. Według raportu PIE „Wpływ kultury na rozwój społeczno-gospodarczy w Polsce" ok. 40 proc. miejsc pracy związanych z kulturą i twórczością w UE można znaleźć poza tą branżą, w niemal wszystkich gałęziach gospodarki. Branża jest bardzo ważna także w kontekście aktywizacji zawodowej kobiet. W 2021 r. to one zajmowały 56,9 proc. stanowisk związanych z kulturą i kreatywnością w Polsce (w całej gospodarce 45,4 proc.). W UE jako całości te różnice są mniejsze – odpowiednio 48,9 proc. i 46,4 proc. Co więcej, Polska charakteryzuje się wysoką dynamiką wzrostu zatrudnienia kobiet w sektorze CCS. W latach 2011–2021 liczba Polek pracujących w tym obszarze wzrosła o niemal 30 proc. Wzrost zatrudnienia w całej gospodarce wyniósł w tym czasie niecałe 10 proc. W UE dynamika zatrudnienia kobiet w CCS również była wysoka, ale dobiła jedynie do 20 proc.

Słaba pozycja podmiotów kultury wobec ich kontrahentów sprawia jednak, że zatrudnienie w polskim CCS jest bardzo niepewne i często przynosi niskie dochody. Według raportu Instytutu Książki „Kondycja zawodowa i warunki pracy osób tworzących książki w Polsce" z 2025 r. zaledwie 7 proc. piszących (nie tylko książki, ale też np. scenariusze czy felietony) ze swojej pracy twórczej zarabiało ponad średnią krajową. Żeby znaleźć się w górnych 10 proc. wystarczyło zarabiać więcej niż płaca minimalna. Wśród wszystkich zawodów zaangażo-

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Kadr z gry „Wiedźmin 3: Dziki Gon"

wanych w tworzenie książek stosunkowo najlepiej wypadali ilustratorzy, ale różnice między specjalizacjami były niskie, wynosiły co najwyżej kilka punktów procentowych. Nic więc dziwnego, że zdecydowana większość przynajmniej dorabia lub w ogóle zarabia gdzie indziej. Około jednej trzeciej ma etat w miejscu niezwiązanym z pracą twórczą, dwie trzecie dorabia na umowach o dzieło, ponad jedna piąta na umowach zlecenia, a nieco ponad jedna dziesiąta także nieformalnie. Zarobki wśród osób zatrudnionych na etacie w całym sektorze CCS są wyraźnie wyższe, ale wiele zależy od wielkości firmy. Według GUS w 2024 r. w mikroprzedsiębiorstwach z tego sektora średnie wynagrodzenie miesięczne wynosiło zaledwie 5,7 tys. zł brutto. W dużych podmiotach (ponad 100 zatrudnionych) średnia pensja wyniosła ponad 12 tys. zł brutto. Etat w kulturze to jednak przywilej nielicznych. Według danych PIE ponad jedna czwarta osób pracujących w CCS to samozatrudnieni, a dwie trzecie pracuje na umowach cywilnoprawnych. Wzrost liczby podmiotów gospodarczych działających w sektorze, jaki miał miejsce w 2024 r., można więc rozumieć dwojako – z jednej strony cieszy rosnąca aktywność, ale z drugiej – może to być również konsekwencja wypchnięcia części twórców na jednoosobową działalność gospodarczą. W 2024 r. miały miejsce masowe zwolnienia w gamedevie (produkcja gier wideo). Część zwolnionych mogła założyć jednoosobową działalność gospodarczą.

## Brazylijski funk i inne polskie hity

Krajowy rynek CCS w niektórych segmentach znacznie przewyższa polski potencjał ludnościowy czy gospodarczy. Odbiorcy kultury są aktywni i chętnie spędzają czas z produkcjami swoich ulubionych twórców. Według danych Związku Producentów Audio-Video w zeszłym roku polski rynek muzyczny wzrósł o 16 proc. i awansował o dwie pozycje – na 16. miejsce na świecie, wyprzedzając znacznie zamożniejsze Szwajcarię i Szwecję. Zdecydowanie dominuje streaming, który odpowiada za 84 proc. sprzedaży muzyki w Polsce pod względem wartości. Rośnie także popularność artystów krajowych, którzy w 2025 r. odpowiadali za 37 proc. sprzedaży w formie nośników fizycznych. W 2023 r. było to 26 proc. Trzeba pamiętać, że to bardzo labilny wskaźnik, w dużej mierze zależący od tego, czy w danym okresie ukaże się jakiś niezwykle popularny album. Przykładowo w 2021 r. polscy muzycy odpowiadali za 41 proc. fizycznej sprzedaży płyt. W tamtym czasie premiery miały jednak głośne płyty Sanah „Irenka" i Maty „Młody Matczak", poza tym swoje produkcje wypuścili również m.in. KęKę, PRO8L3M i Sokół.

Polska branża muzyczna znalazła niszę w światowej muzyce elektronicznej, gdzie słowa mają drugorzędne znaczenie albo w ogóle ich nie ma. Zdecydowanie najpopularniejsi za granicą muzycy znad Wisły to ci, których większość krajowych konsumentów kultury, szczególnie z grupy 40+, najpewniej w ogóle nie zna. Ogryzek to DJ i producent tworzący przesycony elektroniką hip-hop instrumentalny (czyli bez rymów), oparty na dosyć wolnych i ciężkich bitach. Jego najpopularniejszy kawałek „Aura" ma na Spotify niemal 250 mln odsłuchań, a drugi – „Glory" – 186 mln (stan na 21 kwietnia 2026 r.), co stawia go w czołówce twórców na tej platformie, chociaż za megagwiazdami, których odsłuchania są liczone w miliardach (ale raczej pojedynczych). Tylko w ciągu pierwszych trzech tygodni kwietnia Ogryzek miał 6 mln słuchaczy. 76 tys. z nich mieszkało w Bengaluru w Indiach, a 72 tys. w Stambule. Kolejne dwa miasta to São Paulo (70 tys.) i Mexico City (54 tys.). Nic dziwnego, że Ogryzek jest tak popularny w Ameryce Południowej, gdyż niektóre jego produkcje można zaklasyfikować do brazylijskiego funku (czy też phonku), którego czołowym przedstawicielem jest kolejny młody DJ znad Wisły, czyli 6YNTHMANE. Jego „Brazilian Dança Phonk" wyprodukowany wspólnie z RXDXVIL (twórcy tej muzycznej niszy zwykle noszą nazwy napisane wielkimi literami i z X w miejscu niektórych samogłosek) osiągnął aż 272,5 mln odsłuchań na Spotify. Kolejne trzy hity tego producenta: „Ashi Ashi", „Fina Lana" i „Manda Lina" – stworzone wspólnie z innym polskim DJ-em brazylijskiego phonku, LXGHTXNG – mają odpowiednio 64 mln, 53 mln i niespełna 10 mln odsłuchań, jednak te dwa ostatnie mają jeszcze wiele przeróbek, które również były odsłuchiwane miliony razy. W przypadku 6YNTHMANE (2,5 mln słuchaczy w kwietniu) wśród miast na pierwszym miejscu znajduje się Warszawa (44 tys.), ale na kolejnych znów Bengaluru, Stambuł, Mexico City i... peruwiańska Lima.

Świetny okres przeżywa także polska kinematografia, a w szczególności seriale powstałe dla amerykańskich platform streamingowych. W ostatnich miesiącach Netflix wyprodukował nad Wisłą przynajmniej dwa duże międzynarodowe hity. Pierwszym z nich był „Heweliusz". Trafił do światowego TOP10 Netflixa, a tylko w pierwszych dwóch tygodniach oglądano go przez prawie 30 mln godzin. To najdroższa polska produkcja Netflixa – kosztowała 62 mln zł. W tym roku premierę miały „Ołowiane dzieci", których tematem jest epidemia ołowicy w katowickich Szopienicach. W ciągu ledwie pierwszego weekendu film ten wyświetlano na całym świecie przez 24 mln godzin, co również dało mu wejście do globalnej czołówki na platformie. Największym polskim hitem okazała się jednak opowiadająca o powodzi w 1997 r. „Wielka woda" (2022) – w pierwszych dwóch tygodniach film oglądano przez niemal 80 mln godzin. Jak widać, wszystkie te produkcje opowiadały nie tylko o tragediach, lecz także o niewydolności polskiego państwa i cynizmie decydentów. I nie ma co się obrażać, ponieważ właśnie na takich historiach są oparte najlepsze fabuły. Największy czeski hit – serial kryminalny HBO „Pustkowie" – pokazuje kraj zupełnie zdegradowany społecznie i ekonomicznie, na którego tle nawet pojawiające się w produkcji przygraniczne polskie miasta wyglądają jak z innego (lepszego) świata. Zresztą polskie seriale kryminalne, które zdobyły widzów za granicą (np. „Wataha" czy „Odwilż", HBO), także pokazują brud i szarzyznę. To specyfika tego rodzaju produkcji.

Wspomniany wyżej serial „Ołowiane dzieci" Netflixa powstał na kanwie książki Michała Jędryki o tym samym tytule, wydanej w 2020 r. przez Krytykę Polityczną. Netflix wyprodukował również inne seriale na polskiej licencji. Najgłośniejsze są: niestety bardzo nieudany „Wiedźmin" i na szczęście bardzo udane anime „Cyberpunk: Edgerunners". Powieść postapokaliptyczna Jacka Dukaja „Starość aksolotla" także doczekała się adaptacji wyprodukowanej przez Netflix – mowa o belgijskim serialu „Kierunek: Noc", w którego produkcję zaangażowano Tomasza Bagińskiego i samego Dukaja. Ogólnie rzecz biorąc, polskie uniwersa w stylu postapo są bardzo dobrze przyjmowane za granicą. Zazwyczaj opowiadają one o katastrofie klimatycznej. Do klubu „Milion+" należy strategia Frostpunk produkcji 11 bit studios, w której gracz zarządza miastem zmagającym się z coraz niższymi temperaturami (gra doczekała się drugiej części i antologii opowiadań). Karierę robi tłumaczenie na angielski powieści Dukaja „Lód", która trafiła na krótką listę tegorocznych British Book Awards w kategorii science fiction.

## Mroczna Myszka Miki znad Wisły

W jednej z gałęzi popkultury Polacy należą – i to bez przesady – do światowych potęg. Mowa oczywiście o gamingu. Według analizy serwisu GameDiscoverCo polscy gracze są dziesiątą największą nacją wśród użytkowników platformy Steam (hegemon dystrybucji cyfrowej na pecetach). W 2023 r. stanowili 2,5 proc. osób korzystających ze Steamu, bijąc na głowę chociażby Hiszpanów (1,2 proc.) czy Włochów (1,1 proc.). Poza tym gracze znad Wisły są bardzo aktywni – nie tylko zostawiają setki tysięcy opinii na temat produktów, lecz także organizują się. Niedawno głośna była akcja „Polish Our Prices", która wskazywała na niekorzystny przelicznik kursu złotego (Steam aktualizuje je bardzo rzadko), w wyniku czego polskie ceny były jednymi z najwyższych na świecie. Zapewne odegrało to pewną rolę w zmianie podejścia właściciela platformy, koncernu Valve. Steam ogłosił wprowadzenie nowego sposobu przeliczania cen na krajowe waluty, dzięki czemu producenci mogą wybrać między trzema metodami – w tym jedną bardzo korzystną dla polskich graczy, uwzględniającą parytet siły nabywczej.

Jeszcze silniejszy jest rodzimy gamedev. Według raportu „The Game Industry of Poland 2025" wśród 200 najpopularniejszych tytułów na platformie Steam znajduje się 12 polskich produkcji, co daje nadwiślańskim deweloperom siódme miejsce na świecie, zaledwie jeden tytuł mniej niż Wielka Brytania, z której wywodzi się chociażby producent Grand Theft Auto – Rockstar (obecnie już międzynarodowy). Zaraz pod Polską znalazły się Francja (m.in. koncern Ubisoft) i Korea Południowa z dziesięcioma tytułami oraz Chiny z ośmioma. Pod względem zatrudnienia polski gamedev jest trzeci lub nawet drugi w Europie. W 2025 r. zatrudniał 14,5 tys. osób, czyli o 2 tys. więcej niż przemysł produkcji gier w Niemczech. We Francji liczba zatrudnionych jest szacowana na 12–15 tys. Niedoścignionа pod tym względem jest Wielka Brytania, w której gamedev daje pracę aż 25 tys. osób.

Do elitarnego klubu gier, które sprzedały się w ponad milionie egzemplarzy, należy 41 polskich tytułów, wśród których znajdziemy nie tylko produkcje bardzo dużych studiów, takich jak CD Projekt (Wiedźmin 3, Cyberpunk 2077), ale też tytuły niezależne (indie) – chociażby dwie strategie typu city builder Manor Lords i Against the Storm. Polacy wyspecjalizowali się również w... symulatorach przestępców. Mowa o popularnych Drug Dealer Simulator i Thief Simulator. W ostatnim czasie do uznanych polskich producentów dołączył Bloober Team, który wydał dwie bardzo dobrze przyjęte gry – remake Silent Hill 2 (dla japońskiego wydawcy Konami) oraz Cronos: The New Dawn, umiejscowiony w postapokaliptycznej Nowej Hucie. Obecnie entuzjastyczne recenzje zbiera Mouse: P.I. for Hire, czyli strzelankowy kryminał noir stylizowany na amerykańskie animacje z lat 30. i 40. XX w.

Popkultura made in Poland wyrobiła sobie na świecie dobrą markę. Zrobiła to bez szukania rozgłosu i narodowego napinania muskułów, oferując odbiorcom świeże i oryginalne produkcje. Twórca musi mieć pomysł na siebie i chcieć tworzyć jakościowe dzieła, a nie zarabiać wielkie pieniądze, bo te ostatnie powinny być bardzo miłym dodatkiem zamiast celem głównym. Żeby mieć ten komfort, najpierw polscy twórcy muszą mieć jednak zapewnione podstawowe zabezpieczenie socjalne. ©℗

eprasa.pl 1db1d53a52

# Świat

## Rosyjska operacja „Wołyń”

**Zaawansowane narzędzia analizy treści publikowanych w internecie dowodzą, że temat zbrodni wołyńskiej jest celowo podgrzewany przez rosyjskie media propagandowe**

FOT. VLADYSLAV MUSIIENKO/PAP

Prezydenci Polski i Ukrainy Andrzej Duda oraz Wołodymyr Zełenski podczas powitania przed katedrą św. Apostołów Piotra i Pawła, gdzie oddali hołd ofiarom w 80. rocznicę rzezi wołyńskiej. Łuck, 9 maja 2023 r.

*Michał*

Potocki

W przededniu rocznicy zakończenia II wojny światowej rosyjskie władze postanowiły po raz kolejny przetasować listę ówczesnych przeciwników. Zadziwiającym zbiegiem okoliczności koresponduje ona z obecnymi wrogami Kremla.

– Chciałabym zwrócić uwagę na dokument przyjęty 22 marca 2023 r. – mówiła w kwietniu rzeczniczka resortu dyplomacji Marija Zacharowa w rozmowie z agencją TASS, nawiązując do uchwały Dumy „o ludobójstwie narodów Związku Radzieckiego dokonanego przez Niemcy i ich kolaborantów”. – W tym dokumencie wspomina się – pozwolę sobie zacytować – pododdziały zbrojne sformowane na terytoriach Belgii, Włoch, Hiszpanii, Holandii, Norwegii, Finlandii i innych państw, a także poszczególnych ochotników z Austrii, Łotwy, Polski, Francji i Czech. To dosłowny cytat – zapewniała.

Dziwny to zestaw państw: znalazła się wśród nich Polska, w której nie sformowano oddziałów Waffen SS, za to zabrakło sprzymierzonych z III Rzeszą Słowacji czy Węgier. No, ale tych dwóch państw Rosjanie nie tykają; Węgrami wciąż jeszcze wtedy rządził Viktor Orbán, a słowacki premier Robert Fico był namawiany do wizyty w Moskwie z okazji defilady 9 maja.

Co zadziwiające, Zacharowa nawet ten cytat sfałszowała. W rzeczywistości uchwała Dumy była nieco bliższa rzeczywistości i wspominała o „Niemczech i ich sojusznikach – Włoszech, Węgrzech, Rumunii, Słowacji, Finlandii, Chorwacji; ich kolaborantach – pododdziałach zbrojnych sformowanych na terytoriach Belgii, Hiszpanii, Holandii, Norwegii i innych państw, a także poszczególnych ochotnikach z Austrii, Danii, Łotwy, Polski, Francji, Czech i Estonii”.

I uchwała, i wywiad były częścią konsekwentnie prowadzonej polityki historycznej, zgodnie z którą za wybuch II wojny światowej odpowiadają wszyscy Europejczycy poza Rosjanami, którzy faktycznie ją do spółki z Niemcami rozpętali, a zwycięstwo nad faszyzmem – to pewna nowość, która pojawiła się wraz z powrotem do władzy w Stanach Zjednoczonych Donalda Trumpa – jest zasługą Związku Radzieckiego wspartego przez USA.

### ABW ostrzega

W najbliższych dniach można się spodziewać podobnych rewelacji. Na honorowym miejscu rosyjskich oskarżeń tradycyjnie znajduje się Polska. Były prezydent Dmitrij Miedwiediew po ostatnim spotkaniu premiera Donalda Tuska z prezydentem Francji Emmanuelem Macronem znów postraszył nas siłową rozprawą i zaapelował na Telegramie, byśmy „ocenili swoje siły bez uwzględnienia możliwości USA”, a wpis zakończył słowami „Voilà, bóbr k...a!”, nawiązującymi do popularnego w rosyjskim internecie viralowego filmiku z Polakiem, który spotkał rzeczone zwierzę i w żołnierskich, nomen omen, słowach wyraził tym faktem zachwyt.

Miedwiediewowskim refleksjom towarzyszyło opublikowanie przez rosyjski resort obrony adresów szeregu zachodnioeuropejskich lokalizacji, mających ponoć związek ze współpracą z Ukrainą w dziedzinie produkcji dronów. Były wśród nich adresy z Mielca i Torunia, przedstawione, jak wiele innych, jako legalne cele ataku.

W ostatnim czasie niszczone są też miejsca upamiętniające polskie ofiary represji stalinowskich. Z cmentarzy ofiar zbrodni katyńskiej skuto płaskorzeźby przedstawiające polskie ordery wojskowe, u wejścia do nekropolii w Katyniu ustawiono wystawę o „10 wiekach polskiej rusofobii”. W dodatku na datę otwarcia wystawy wybrano 10 kwietnia, rocznicę katastrofy smoleńskiej. Dyrektor naukowy Rosyjskiego Towarzystwa Wojskowo-Historycznego, na którego czele stoi Władimir Miedinski, autor historycznych artykułów Putina, przekonywał, że „ta nienawiść przejawiała się w konkretnych działaniach”. – A konkretnie w podboju rosyjskiego terytorium, zabijaniu ludu rosyjskiego, białoruskiego i małoruskiego – mówił Michaił Miagkow, który, nawet obłudnie stając po stronie Ukraińców, musiał użyć na ich określenie kolonialnego, uznawanego za pogardliwy terminu. Znikają i są niszczone także mniej znane, lokalne upamiętnienia. W Jakucku tablice ku czci polskich zesłańców ma zastąpić pomnik poległego uczestnika agresji na Ukrainę.

Według najnowszego raportu Agencji Bezpieczeństwa Wewnętrznego, opublikowanego 6 maja, „dyskredytowanie RP na arenie międzynarodowej” należy do priorytetowych przedsięwzięć podejmowanych przez rosyjskie służby. Wśród innych celów ABW wymienia „wykorzystywanie historycznych antagonizmów narodowościowych, głównie w relacjach polsko-ukraińskich”.

### Operacja „Wołyń”

W tej sferze nic nie nadaje się lepiej do podgrzewania antagonizmów niż zbrodnia wołyńska. Oczywiste różnice w interpretacji czystki etnicznej, przeprowadzonej na Wołyniu i w Galicji rękoma ukraińskich nacjonalistów w latach 1943–1944, spory polityczne, które doprowadziły do kilkuletniej blokady prac poszukiwawczych i ekshumacyjnych na terenie Ukrainy, granie tematem przez radykałów po obu stronach granicy – wszystko to otwiera przed rosyjską propagandą pole do popisu.

Analiza Google Trends wskazuje, że w Polsce zainteresowanie wyszukiwaniem informacji o zbrodni wołyńskiej osiągnęło szczyt w lipcu 2013 r., w 70. rocznicę krwawej niedzieli. Wcześniej mało kto się tą sprawą zajmował. Późniejsze wzrosty zainteresowania to lipiec i październik 2016 r. Ta ostatnia data jest związana z premierą filmu „Wołyń” Wojciecha Smarzowskiego, który upowszechnił wiedzę o ludobójstwie w polskim społeczeństwie. W kolejnym roku doszło do ataków na ukraińskie pomniki na terenie Polski, które z kolei skłoniły władze ukraińskie do zablokowania ekshumacji ofiar kataklizmów dziejowych. Zakaz zniesiono dopiero w ostatnim czasie. Dzięki narzędziu Attack Index, pozwalającemu na zautomatyzowane analizowanie dowolnie wybranych fraz występujących w rosyjskich mediach, można dowieść, że rosyjska operacja informacyjna poprzedzała polskie zainteresowanie i rozpoczęła się właśnie wczesnym latem 2016 r. To wtedy Rosjanie odkryli potencjał propagandowy płynący ze zbrodni wołyńskiej.

Od tej pory po temat Wołynia rosyjskie media sięgają uporczywie nie tyl-

eprasa.pl 1db1d53a52

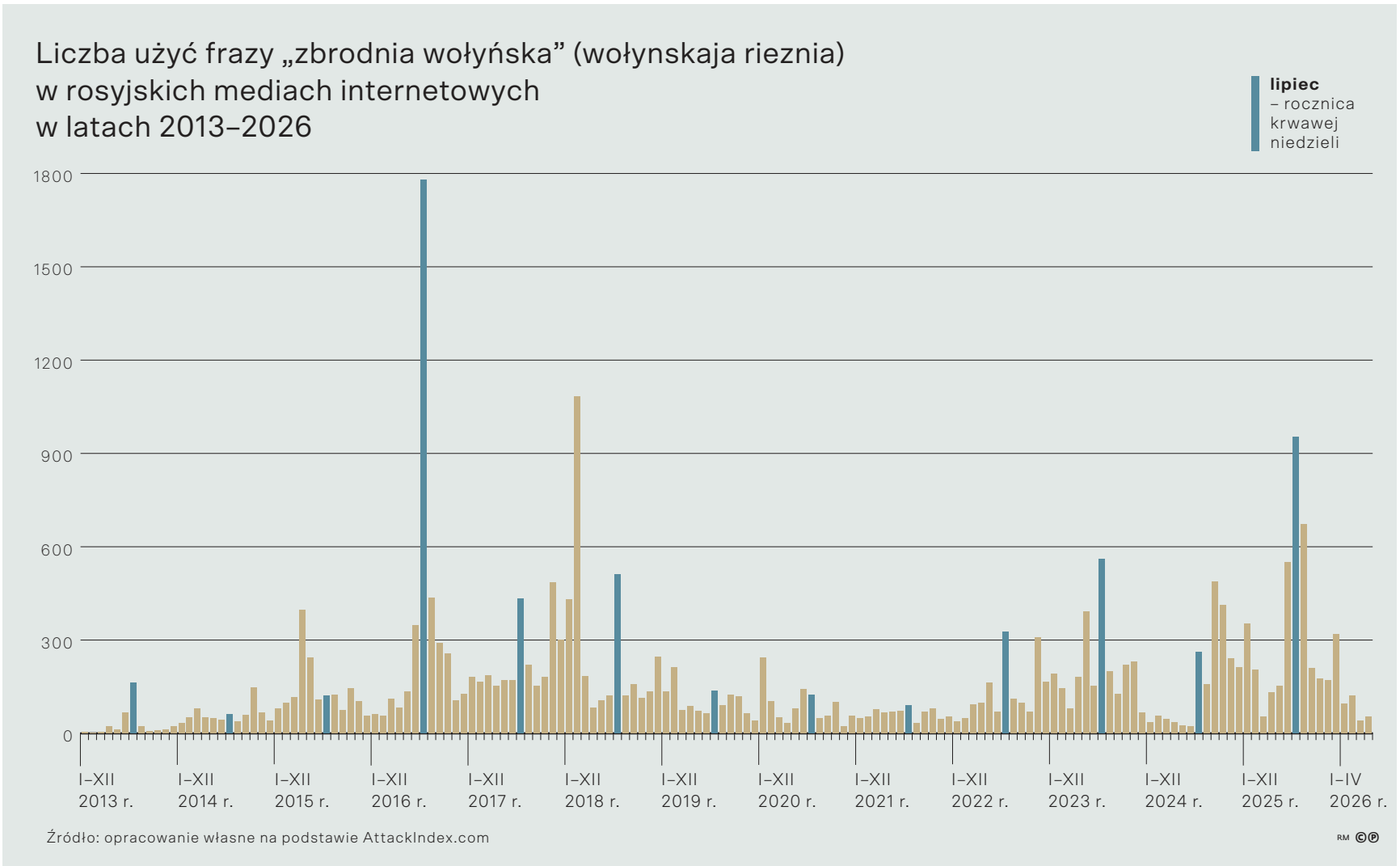


ko przy okazji lipcowej rocznicy – co byłoby jeszcze zrozumiałe – ale zawsze wtedy, gdy wzrasta poziom napięć w relacjach polsko-ukraińskich, nawet niezwiązanych z trudną historią. Wzrost skali eksploatacji zbrodni wołyńskiej w rosyjskich mediach koreluje np. z kryzysem zbożowym 2023 r. i – w mniejszym stopniu – z kampanią prezydencką 2025 r., podczas której część kandydatów chętnie sięgała po antyukraińskie hasła. Rosjanie nie zapominają jednak o Wołyniu także między okresami podwyższonego zainteresowania. Jest to w pełni zgodne z samą logiką prowadzenia wojny informacyjnej przez Kreml. Zmarła niedawno Jolanta Darczewska z Ośrodka Studiów Wschodnich, wybitna ekspertka od rosyjskich operacji informacyjno-psychologicznych, wśród pięciu zasad skutecznej propagandy wymieniała w 2014 r. „zasadę masowego i długotrwałego działania”. Jak ulał pasuje do trwającej od dekady operacji „Wołyń”.

## Analiza internetu

Attack Index, wykorzystując mechanizmy sztucznej inteligencji, analizuje treść 20 tys. stron internetowych z 64 państw, operujących na bazie języków zapisywanych cyrylicą i alfabetem łacińskim. Ocenia wydźwięk poszczególnych publikacji (pozytywne, neutralne, negatywne) i uprawdopodabnia stopień ich koordynacji. – Jeśli analiza big data wykazuje nagły wzrost liczby artykułów o negatywnym wydźwięku, które bazują w dodatku na wystąpieniach czy konferencjach polityków, można z dużą dozą prawdopodobieństwa stwierdzić, że operacja ma charakter skoordynowany. Jeśli chodzi o zbrodnię wołyńską, celem tej konkretnej operacji jest oczywiście podnoszenie temperatury polsko-ukraińskich sporów historycznych – mówi Ellina Sznurko-Tabakowa, szefowa spółki Index Systems, która opracowała narzędzie.

Jeśli analizować za pomocą Attack Index karierę określenia „rzeź wołyńska” w rosyjskich mediach w okresie pełnowymiarowej wojny (a dokładniej: od chwili sformułowania ultimatum pod adresem Zachodu w grudniu 2021 r.), tytułowy wskaźnik ataku wynosi 7 w skali 0–10. Im wyżej, tym więcej oznak, że dana kampania ma charakter skoordynowany i niesie za sobą informacyjne ryzyka dla obiektu badań. Co oznacza siódemka? „Wszystkie oznaki obecności sztucznego wpływu i informacji operacyjnej. Odchylenia od średniego poziomu strumienia informacji świadczą o intensywnym ataku informacyjnym” – czytamy w raporcie. W większości o Wołyniu piszą serwisy otwarcie propagandowe – dotyczy to 85 proc. publikacji między grudniem 2021 r. a kwietniem 2026 r., a nie te zachowujące przynajmniej pozory standardów dziennikarskich.

Wśród 20 źródeł najchętniej piszących o zbrodni wołyńskiej dominują prorosyjskie serwisy dla Ukraińców. Na pierwszym miejscu znalazł się serwis „ZOV Kijew”, który w nazwie ma łacińskie litery symbolizujące rosyjską agresję na Ukrainę, na drugim – sieć propagandowa „Antimajdan”, która kolportuje kremlowski przekaz od rewolucji lat 2013–2014. Na trzecim miejscu jest rosyjska agencja TASS. Nieco dalej – kolejne serwisy dla Ukraińców, w większości objęte przez Kijów sankcjami, w tym dość popularna Ukraina.ru. Wydawnictwa stricte rosyjskie, poza TASS, są na dalszych miejscach: News.mail.ru, agregat podczepiony pod skrzynkę mailową, zajmuje ósme, Gazeta.ru dziewiąte miejsce.

Docelowi odbiorcy to najwidoczniej Ukraińcy, a nie Rosjanie. O tym świadczą też rozbieżności między stopniem natężenia publikacji na temat zbrodni a zainteresowaniem rosyjskich użytkowników Google'a. Według danych Google Trends z pięciu szczytowych okresów zainteresowania tematem trzy przypadały na rocznice krwawej niedzieli w latach 2016, 2022 i 2025, czwarty – na marzec 2022 r., czyli tuż po rosyjskiej napaści na Ukrainę. Po rozpoczęciu wojny to zainteresowanie nawet w okresach między pikami jest znacznie wyższe niż przed lutym 2022 r. Chronologicznie pierwszy szczyt przypadł zaś na marzec 2014 r. Karierę w rosyjskim internecie zrobiły wówczas fragmenty wywiadu z prorosyjskim działaczem Ołehem Cariowem, obecnie na emigracji w Moskwie, który był pytany o zbrodnię wołyńską w ukraińskiej telewizji. Przed lipcem 2013 r. temat w ogóle nie budził zainteresowania rosyjskich internautów. ©℗

### Polacy lubią „Mein Kampf”

*Czytaj też*

Niejako dalszy ciąg historii wymyślonej przez twórców „Warszawy 2021” przedstawia w swojej publicystyce jeden z federalnych telekanałów RenTV. Oto zachodnia Ukraina staje się kolonią Warszawy. Nasze konsulaty prowadzą tam sondaże, czy ludność chce ustanowienia polskiego protektoratu. Polacy masowo kupują nieruchomości we Lwowie, zajmują kluczowe stanowiska i przenoszą swoje biznesy do Ukrainy. W tamtejszych szkołach zaczyna się powszechna nauka języka polskiego. W Warszawie do władzy prą neonaziści. Są potężni, a „Mein Kampf” sprzedaje się na pniu. Jak wyjaśnia politolog z Moskwy Andriej Bunicz, „Polacy czytają to masowo, im się to podoba”. Mówiących po rosyjsku nagminnie bije się na ulicach. Polscy najemnicy odgrywają w Ukrainie rolę oddziałów zaporowych – pilnują, żeby tamtejsi żołnierze nie uciekali z frontu. Rząd w Warszawie chce inkorporować sąsiada, dlatego szykuje nową wojnę z Rosją. Zapobiegliwie buduje się u nas nowe wojskowe cmentarze – według wzorów amerykańskich, każdy na 10 tys. grobów. I w tej, i w dziesiątkach innych, również bardziej intelektualnych produkcji obsesyjnie powtarza się tezę, jakoby „ukrainizm” wymyślili Polacy.

Na edgp.gazetaprawna.pl • Piotr Skwieciński „Śmiesznie i groźnie”, DGP Magazyn na Weekend nr 247/248 z 20 grudnia 2024 r.

eprasa.pl 1db1d53a52

# Szwedzi na tajnym froncie

**Nowa agencja wywiadowcza to tylko jeden ze szwedzkich sposobów ofensywnego reagowania na zmiany w środowisku bezpieczeństwa**

*Witold*

## Sokała

Maria Malmer Stenergard, minister spraw zagranicznych Królestwa Szwecji, potwierdziła we wtorek, że rząd tworzy nową służbę specjalną. Ma to być agencja cywilnego wywiadu zagranicznego, która przejmie – a przede wszystkim poszerzy – część zadań istniejących wcześniej instytucji. Stosowny projekt trafił właśnie do Rady Legislacyjnej, a na początku czerwca ma zostać przekazany do procedowania parlamentowi. Co prawda pojawił się już sprzeciw po stronie socjaldemokratycznej opozycji (z tradycyjną narracją, że oto „gwałtu, rety, rząd chce bardziej szpiegować dobrych ludzi!"), a naczelny dowódca sił zbrojnych gen. Michael Claesson zgłosił publicznie „poważne wątpliwości". Oficjalnie obawia się, że w tak niespokojnych czasach to zbyt pochopne działanie, choć może też chodzić po prostu o zachowanie swojej strefy wpływów i budżetu wojska (bo zadaniami zewnętrznymi i ofensywnymi zajmowały się dotychczas przede wszystkim struktury militarne). Mimo tych zastrzeżeń jest wysoce prawdopodobne, że rząd zdoła przeforsować projekt zgodnie z założonym harmonogramem: uchwalenie ustawy nastąpi w sierpniu, potem szybko wyda się niezbędne akty wykonawcze i firma zacznie na dobre działać w nowym roku. Na razie trwają intensywne przygotowania, również kadrowe. Nieoficjalnie wiadomo, że propozycje objęcia stanowisk otrzymali już niektórzy oficerowie istniejących służb, a także osoby związane z dyplomacją i środowiskami eksperckimi. Ponoć dyskretnie są już nawet testowane procedury naboru nowych kadr niższych szczebli, m.in. na wybranych szwedzkich uczelniach, ale także w środowiskach związanych z mediami społecznościowymi i w ogóle działalnością w internecie.

Ta inicjatywa nie jest zaskoczeniem. To efekt politycznej burzy, która rozpętała się po pełnoskalowym ataku Rosji na Ukrainę w lutym 2022 r. Szwedzkie służby wywiadowcze prawie do końca lekceważyły przekazywane kanałami dyplomatycznymi informacje od partnerów zewnętrznych, uparcie raportując rządowi, że Putin zapewne blefuje. Owszem, opierając się wyłącznie na białych (czyli ogólnodostępnych) źródłach i analizując pozyskane z nich dane w kontekście dostępnej wiedzy politologicznej, łatwo było popełnić taki błąd. Rzecz w tym, że porządny wywiad powinien mieć do dyspozycji coś więcej – i zawczasu dać decydentom scenariusze bliższe prawdy. Nie dzięki szczęśliwemu zgadywaniu, lecz dzięki wiedzy operacyjnej, twardej i zweryfikowanej zgodnie z regułami sztuki. Po to, żeby premier i ministrowie nie musieli improwizować w warunkach ostrego kryzysu bezpieczeństwa, jak wówczas w Sztokholmie.

## Zawinił system?

Szybki wniosek polityków (i znacznej części opinii publicznej) był oczywisty: zawiniły służby. Ale z kręgów fachowych popłynęły niebawem analizy wskazujące, że zawiódł nie tyle sam wywiad, czyli służący w nim ludzie, ile raczej właśnie politycy mający przecież fundamentalny wpływ na organizację struktur profesjonalnych, ich zadaniowanie i wyposażenie w instrumenty działania, a wreszcie na sposób tworzenia i odbioru finalnego „produktu wywiadowczego".

A system służb specjalnych w Szwecji jest dość nietypowy, podobnie zasady ich podporządkowania politykom. Kluczową rolę odgrywa wciąż Wojskowa Służba Wywiadu i Bezpieczeństwa (Militära underrättelse och säkerhetstjänsten; MUST). Utworzona w obecnej formie w 1994 r. i mająca do dyspozycji ponad tysiąc oficerów i pracowników cywilnych jest odpowiedzialna zarówno za wywiad, jak i kontrwywiad. Pracuje m.in. poprzez system ataszatów wojskowych, ale w jej strukturze znajduje się też Biuro ds. Szczególnego Pozyskiwania Informacji (Kontoret för särskild inhämtning; KSI), czyli po prostu komórka zajmująca się klasycznym wywiadem osobowym zwanym też agenturalnym (w nowoczesnej terminologii: HUMINT). I ponoć robi to bardzo skutecznie. W zakresie wywiadu zwanego sygnałowym (SIGINT) działa natomiast wyspecjalizowana Agencja Wojskowego Rozpoznania Radioelektronicznego (Försvarets radioanstalt; FRA). Zajmuje się przechwytywaniem, analizą i przetwarzaniem danych z międzynarodowej komunikacji internetowej, elektronicznej i radiowej pod kątem zagrożeń dla bezpieczeństwa państwa i obywateli szwedzkich, współpracuje w tym zakresie z wieloma służbami sojuszniczymi i partnerskimi, wśród których cieszy się zresztą, i to od zamierzchłych czasów zimnej wojny, znakomitą opinią.

Przy całym merytorycznym uznaniu dla MUST i FRA nie można jednak pomijać tego, że obie firmy siłą rzeczy bardziej koncentrują się na zagadnieniach czysto militarnych, w tym na rozpoznaniu i tzw. wywiadzie płytkim, na potrzebach taktycznych i operacyjnych wojska, a w pewnym stopniu także na kwestiach związanych z przemysłem obronnym niż na zagadnieniach strategicznych, a zwłaszcza na newralgicznych kwestiach politycznych. W dodatku jeden z głównych rządowych ośrodków analitycznych w dziedzinie bezpieczeństwa, odpowiedzialny m.in. za ostateczną obróbkę wielu danych wywiadowczych – Agencja Badań nad Obronnością (FOI) – także jest podporządkowana ministerstwu obrony.

Na rynku wewnętrznym, oprócz wyspecjalizowanego kontrwywiadu wojskowego działa Szwedzka Służba Bezpieczeństwa Cywilnego (Säkerhetspolisen; SÄPO). Jest to formacja policyjna, podporządkowana resortowi sprawiedliwości, szczycąca się bardzo długą tradycją, choć wielokrotnie przekształcana. Zajmuje się obecnie zagadnieniami od zwalczania terroryzmu i obcego szpiegostwa przez ochronę infrastruktury krytycznej, tajemnicy państwowej i informacji niejawnych, przestrzeganie „zasad demokratycznego państwa prawa" aż po przeciwdziałanie wybranym formom przestępczości. Intensywnie wspiera też szwedzkie przedsiębiorstwa prywatne w zakresie bezpieczeństwa. W swoich obszarach także ona cieszy się całkiem dobrą opinią, zarówno wśród samych Szwedów (może z wyłączeniem okresowych porażek odnośnie do kontroli nad niektórymi środowiskami migranckimi), jak i w międzynarodowym środowisku fachowym.

Problemy są jednak przynajmniej dwa. Po pierwsze, mimo że kadrowo i budżetowo SÄPO przeważa nad MUST mniej więcej dwukrotnie, ogrom jej bardzo zróżnicowanych zadań powoduje permanentny efekt krótkiej kołdry. Po drugie, w dzisiejszych realiach, gdy wiele zagrożeń klasyfikowanych tradycyjnie jako wewnętrzne ma tak naprawdę genezę zewnętrzną, służba taka jak SÄPO jest z natury rzeczy skazana na reaktywność. Także wtedy, gdy staje w obliczu wrogiej agentury na różne sposoby paraliżującej pracę innych newralgicznych podmiotów państwowych.

## Ministerstwo prawdy

Szwedzki system bezpieczeństwa jest oryginalny nie tylko z powodu dominacji służb wojskowych w zadaniach ofensywnych oraz ustawienia dowództwa sił zbrojnych jako głównego dostarczyciela finalnej analizy wywiadowczej dla cywilnych decydentów, przy zepchnięciu na dalszy plan resortu spraw zagranicznych. Także – i to warto odnotować dla kontekstu – z powodu skłonności do nieszablonowych rozwiązań na froncie wewnętrznym. Kiedyś, jeszcze w latach 50. i 60. XX w., było to np. wykorzystanie na wielką skalę struktur i aktywu związków zawodowych do kontrwywiadowczego zwalczania radzieckiego szpiegostwa i wpływów Moskwy w gospodarce i administracji. Współcześnie, w zmienionych warunkach, analogicznie działa Agencja Obrony Psychologicznej (Myndigheten för psykologiskt försvar; MPF) żartobliwie określana niekiedy ministerstwem prawdy. Siedzibę główną ma w relatywnie niewielkim Karlstad (na prowincji

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. JONATHAN NACKSTRAND/AFP/EAST NEWS

Szwedzcy żołnierze kontrwywiadu wojskowego podczas ćwiczeń w Kungsangen niedaleko Sztokholmu, 27 lutego 2024 r.

czasem łatwiej zapewnić bezpieczeństwo i szczelność pewnego typu instytucji), a pomocniczą w Solna na obrzeżach aglomeracji sztokholmskiej.

Utworzenie takiej specjalnej agencji rządowej (a właściwie jej reaktywację, bo podobne rozwiązania instytucjonalne stosowano w Szwecji w czasach zimnej wojny) nieoficjalnie rozważano już po rosyjskiej aneksji Krymu w roku 2014, gdy można było dostrzec zintensyfikowanie informacyjnej agresji służb kremlowskich na kierunku europejskim. Publicznie zapowiedział to, bodaj jako pierwszy, premier Stefan Löfven w roku 2018, podkreślając, że działania z zakresu „obrony psychologicznej" wpisują się w tradycyjną, szwedzką doktrynę „obrony totalnej", tworząc narzędzia chronienia demokracji oraz „suwerenności decyzyjnej" instytucji przed wrogim wpływem ośrodków zewnętrznych (już wtedy miał na myśli Rosję, acz nie tylko, bo szwedzkie oceny wywiadowcze od dawna wskazują także na niebezpieczeństwa stymulowane przez Chiny i niektóre państwa islamskie, a także np. Białoruś i Koreę Północną, działające jako podwykonawcy Moskwy i Pekinu, i to nie tylko w przestrzeni informacyjnej).

MPF powstała ostatecznie w 2022 r., a jednym z bardziej kontrowersyjnych aspektów prac przygotowawczych była kwestia jej podporządkowania. Wreszcie zdecydowano – cóż za zaskoczenie – że znajdzie się w gestii resortu obrony. Formalnie wciąż nie jest klasyfikowana jako służba specjalna (choć ściśle współpracuje z wszystkimi wymienionymi wcześniej, a także z zainteresowanymi strukturami UE i NATO), ale de facto spełnia na tajnym froncie rolę niemniej istotną – zajmuje się przeciwdziałaniem zagrożeniom w domenie cybernetycznej, walką z instrumentami agresji informacyjnej i operacjami wpływu wymierzonymi w szwedzkie społeczeństwo, podmioty gospodarcze oraz struktury państwowe. Co ciekawe, główne zadania agencji opisano jako prewencję i edukację, ale „na wypadek wojny" nie wykluczono także jej ofensywnych działań operacyjnych, a w strukturze wewnętrznej już istnieją wydzielone komórki zdolne do takiej aktywności.

To w pełni uzasadnione – doświadczenia, nie tylko zresztą szwedzkie, wskazują bowiem, że sama edukacja publiczna, żmudny fact-checking i demaskowanie kłamliwych narracji na różne tematy, a nawet łączenie kropek i rozpracowywanie sieci powiązań pomiędzy przeróżnymi manipulatorami to działania wprawdzie niezwykle szlachetne i pożyteczne, ale dalece niewystarczające. Mają bowiem charakter defensywny, a jak wiadomo, najlepszą obroną jest atak. W tym przypadku potrzebna jest możliwość ofensywnego rozpoznania agentury wpływu już u jej źródeł, by nie tylko dezawuować wykonawców, lecz także móc identyfikować i powstrzymywać zewnętrznych kierowników wrogich akcji. Ewentualnie odpowiadać własną dezinformacją, komplikującą życie przeciwnikowi.

Warto przy tym zauważyć, że doktryna MPF bardzo wyraźnie podkreśla, iż agencja zwalcza jedynie zjawiska o genezie zewnętrznej, nie jest policją polityczną naruszającą wolność słowa. – Dezinformacja wewnętrzna to słabość, zewnętrzna to zagrożenie – mówił dwa lata temu w wywiadzie dla „Nowej Europy Wschodniej" szef działu operacyjnego MPF Mikael Tofvesson.

## Kwestia koordynacji

Po wpadce z lutego 2022 r. Szwedzi nie poprzestali na oburzeniu i krytyce. Pragmatycznie zabrali się do wyciągania wniosków i wdrażania planu naprawczego. Wkrótce premier utworzył stanowisko doradcy ds. bezpieczeństwa narodowego. Został on jednocześnie sekretarzem nowej (a właściwie: reaktywowanej) Rady Bezpieczeństwa Narodowego umocowanej w strukturze kancelarii premiera, bezpośrednio podporządkowanej szefowi rządu, z zadaniami prowadzenia analizy zagrożeń, doradztwa strategicznego oraz międzyresortowej koordynacji polityki bezpieczeństwa. W tak kluczowym gremium znalazło się wreszcie miejsce – poza szefem resortu obrony – także dla ministra spraw zagranicznych oraz kilku innych, mniej do tej pory oczywistych funkcjonariuszy publicznych. Wprowadzona wówczas centralizacja decyzji i odpowiedzialności wynikała zarówno z potrzeb rozpoczętego właśnie procesu integracji z NATO, jak i ze zdroworozsądkowej konstatacji, że efektywne zadaniowanie służb specjalnych oraz prawidłowe odczytywanie płynących z ich strony komunikatów wymaga przebudowy starego systemu.

Sama koncepcja jest niewątpliwie słuszna, ale warto odnotować problemy z jej realizacją. Wyjątkowy pech (a może coś jeszcze?) towarzyszy bowiem kolejnym nominacjom na stanowisko doradcy premiera ds. bezpieczeństwa, które teoretycznie powinno być wyłączone z systemu podziału partyjnych łupów (takie przynajmniej było publiczne stanowisko rządu). Najpierw objął funkcję Henrik Landerholm, co prawda polityk partii rządzącej, ale mający niebagatelne doświadczenie w wojsku (podpułkownik rezerwy) i dyplomacji (m.in. na placówkach w Afganistanie, Zjednoczonych Emiratach Arabskich i Łotwie), były szef prestiżowych, państwowych akademii obrony, a następnie pierwszy dyrektor generalny Agencji Obrony Psychologicznej. Wkrótce musiał jednak odejść w atmosferze skandalu związanego z bardzo lekkomyślnym obchodzeniem się przezeń z materiałami niejawnymi (zostawił tajne dokumenty w centrum konferencyjnym, notatnik zawierający istotne zapiski w studiu Sveriges Radio, a nieco wcześniej – telefon komórkowy w ambasadzie Węgier).

Tymczasowo obowiązki pełniła Annika Brändström (faktycznie niezależna urzędniczka i ekspertka związana wcześniej ze środowiskiem akademickim i wywiadowczym), po czym gabinet przejął – na niespełna jeden dzień! – Tobias Thynberg, były ambasador w Ukrainie i Afganistanie. Zrezygnował ze stanowiska po tym, jak ktoś anonimowo przesłał rządowi jego potencjalnie kompromitujące zdjęcia z aplikacji randkowej Grindr, o których istnieniu nie wspomniał (podobno przez roztargnienie) podczas procedur kontroli bezpieczeństwa. Wreszcie w połowie 2025 r. został mianowany Niclas Kvarnström, absolwent Oxfordu i dyplomata mający staż ambasadorski m.in. w Singapurze, były dyrektor w Europejskiej Służbie Działań Zewnętrznych UE. I on wzbudził pewne kontrowersje. Chodziło o usuwanie poza legalnymi procedurami e-maili, które wysyłał do różnych ważnych odbiorców w 2018 r., gdy koordynował kampanię na rzecz członkostwa Szwecji w Radzie Bezpieczeństwa ONZ. Na tle poprzedników to niewielki kaliber.

## Potrzeba nowej szpady

Ten brak stabilności personalnej źle odbił się na funkcjonowaniu całego systemu bezpieczeństwa, także na autorytecie szefa rządu oraz służb odpowiedzialnych za weryfikację kandydatów. W branży zaczęto nawet snuć spekulacje, ile w tych historiach było przypadku, a ile celowego sabotażu.

Na próbie poprawy koordynacji na szczycie nie poprzestano. Równolegle ówczesny szef rządu zlecił dokonanie kompleksowego przeglądu całej struktury organizacyjnej służb specjalnych, a także ocenę zdolności ich funkcjonowania w dynamicznie zmieniającej się sytuacji bezpieczeństwa. Szefem mającej się tym zająć komisji został mianowany jesienią 2023 r. były premier i minister spraw zagranicznych Carl Bildt, człowiek o niekwestionowanym (i to nie tylko w Szwecji) branżowym autorytecie. Do pomocy dodano mu ekspertów z najważniejszych instytucji państwowych, z zainteresowanych resortów, ale także z niezależnych think-tanków i akademickich katedr.

Obszerny raport opublikowany w połowie 2025 r. postulował wzmocnienie zdolności wojskowych i informacyjnych Szwecji (w tym w zakresie współpracy z partnerami i sojusznikami) oraz ostateczne przeniesienie kluczowego punktu odbioru finalnego produktu wywiadowczego bliżej kancelarii szefa rządu przy zachowaniu ważnej pozycji ministra obrony i naczelnego dowództwa sił zbrojnych, ale ze wzmocnieniem roli MSZ. Na podstawie tego założenia zaproponowano wtedy powołanie odrębnej, odpowiedzialnej za wywiad zagraniczny agencji cywilnej, na której czele stanąłby dyrektor krajowy (analogicznie do struktur przyjętych w innych państwach NATO). I w ten sposób ruszył proces, którego kamieniem milowym była właśnie wtorkowa konferencja prasowa minister Stenergard.

Wedle założeń, które wypracował zespół Bildta, nowa instytucja ma być służbą przede wszystkim analityczną, odpowiadającą za gromadzenie i przetwarzanie danych wywiadowczych z HUMINT oraz SIGINT. Wspominano o wzorowaniu się na brytyjskiej Wspólnej Organizacji Wywiadowczej (Joint Intelligence Organisation; JIO), acz pojawiły się też odniesienia do amerykańskiej CIA, co wskazywałoby, że poza zadaniem koordynowania i opracowywania kompleksowej oceny wywiadowczej dla kierownictwa państwa brana jest pod uwagę także opcja bezpośredniego zaangażowania nowej instytucji w pracę w terenie. W świetle wskazanych słabości dotychczasowego systemu oraz zidentyfikowanych potrzeb polityki bezpieczeństwa miałoby to sens. Można więc zakładać, że nowa agencja zostanie bogato wyposażona w instrumenty operacyjne (a także odpowiednie kadry i budżet), które pozwolą jej spełnić informacyjne oczekiwania decydentów, ale też mocno wesprzeć ofensywnymi działaniami instytucje zmagające się z zagrożeniami na froncie wewnętrznym.

Nie chodzi tu oczywiście o zabranie czegoś starym strukturom, zwłaszcza MUST. Raczej o uzupełnienie ich aktywności przez ludzi lepiej rozumiejących świat cywilny i jego uwarunkowania, a także mających nieco inne niż wywiad wojskowy narzędzia poza granicami kraju. Z naszego punktu widzenia to bardzo dobrze. W naszym interesie jest jeszcze większa efektywność wywiadowcza ważnego sojusznika, ale to też kopalnia dobrych praktyk do podglądania. My cywilną agencję wywiadu mamy co prawda od dawna, ale poza tym nasze służby (i zwłaszcza ich polityczni zwierzchnicy) mają kilka lekcji do odrobienia. ©℗

Autor jest wykładowcą Instytutu Stosunków Międzynarodowych Uniwersytetu Jana Kochanowskiego w Kielcach, przewodniczącym Rady i analitykiem Fundacji Po.Int, publicysta DGP

Więcej tekstów tego autora Skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 1db1d53a52

# Pan Viktor odchodzi

**Po 16 latach skończyła się epoka Viktora Orbána i można już podsumować przyczyny jego sukcesu, a potem klęski. Pytania o ostateczny kształt zmian na Węgrzech pozostają natomiast otwarte**

*Dominik*

## Héjj

W najbliższą sobotę w południe Péter Magyar zostanie zaprzysiężony na nowego szefa rządu. Wcześniej, o godzinie 10, zostanie zainaugurowana nowa kadencja Zgromadzenia Krajowego.

Gdy wiosną 2010 r. Fidesz obejmował władzę, w parlamencie zasiadały jeszcze trzy inne ugrupowania: socjaliści z MSZP, skrajnie wówczas prawicowy Jobbik oraz zieloni z formacji LMP (Polityka Może Być Inna). Dziś ta trójka znajduje się w stanie politycznej wegetacji. W nowym parlamencie zasiądą trzy formacje – tym razem wszystkie o profilu prawicowym. Tym, co je dzieli, jest przede wszystkim stopień radykalizmu. Na scenie mamy więc: skrajnie prawicowy Ruch Nasza Ojczyzna (Mi Hazánk), Fidesz-KDNP oraz partię TISZA. Będzie to kadencja wyjątkowa, w której władzę obejmie jedna partia, i to dysponująca najsilniejszym mandatem w najnowszej historii politycznej Węgier. TISZA wprowadzi do parlamentu 141 posłów na 199 możliwych. Niemal trzech na czterech deputowanych to polityczni debiutanci, co oznacza, że Węgry wkraczają w etap w dużej mierze nieprzewidywalny.

Viktor Orbán, choć otwierał listę krajową i zdobył mandat poselski, ostatecznie się go zrzekł. Jak sam tłumaczy, zamierza się skupić na przebudowie struktur partyjnych i przygotowaniach do walki o odzyskanie władzy. Były premier wyraźnie liczy na to, że niedoświadczona formacja TISZA nie dotrwa do końca kadencji.

## Czas sukcesów

Wycofanie się Viktora Orbána z bieżącej polityki skłania do podsumowania minionych 16 lat. Gdybyśmy mieli wskazać pole, na którym odniósł najważniejsze zwycięstwo, z pewnością byłaby to polityka tożsamości i przywrócenie Węgrom poczucia godności ponad partyjnymi podziałami. Głośne mówienie o niesprawiedliwości traktatu z Trianon czy o historycznym osamotnieniu państwa w regionie służyło konsekwentnej odbudowie dumy narodowej. Tworzyło także przestrzeń do nieoczywistych sojuszy – jak np. z tzw. ludami turkijskimi (m.in. Kazachstanem, Kirgistanem czy Tadżykistanem). Ich fundamentem była wiara we wspólne pochodzenie (a nie – jak się najczęściej przyjmuje – od ludów ugrofińskich). Już to, że o Węgrzech mówiono w ostatnich latach tak dużo, budowało przekonanie o rosnącym znaczeniu tego niewielkiego kraju, większym, niż wynikałoby to z jego obiektywnego potencjału.

Ten tożsamościowy fundament został obudowany przemyślaną polityką narodowościową. Jej wyrazem stała się liberalna ustawa uznająca 13 mniejszości narodowych i przyznająca im szerokie uprawnienia. Przyjęto ją niejako z nadzieją na wzajemność – oczekiwano, że podobne prawodawstwo wprowadzą państwa ościenne, w których po 1920 r. pozostała liczna diaspora węgierska. Co więcej, już w 2010 r., na pierwszym posiedzeniu parlamentu, uchwalono ustawę o podwójnym obywatelstwie dla rodaków żyjących poza granicami kraju. W ten sposób paszport uzyskało prawdopodobnie ok. 1,5 mln „nowych Węgrów" (brak jest aktualnych danych). Zyskali oni nie tylko symboliczną opiekę państwa, lecz także dostęp do węgierskiego wsparcia socjalnego oraz unijnego rynku, co miało ogromne znaczenie zwłaszcza dla mieszkańców Ukrainy czy Serbii.

Absolutnym filarem rządów Fideszu była jednak rozumiana niezwykle szeroko polityka rodzinna. Flagowym projektem, który zbudował gigantyczną popularność gabinetu Orbána, był wprowadzony w 2013 r. program odgórnego zamrożenia cen energii (węg. rezsicsökkentés). Jego efekty konsekwentnie przedstawiano jako realny zysk dla gospodarstw domowych – to wtedy na rachunkach pojawiło się słynne „pomarańczowe pole" informujące obywatela o kwocie zaoszczędzonej rzekomo dzięki interwencji władz. Jednocześnie uruchomiono rozbudowany system zachęt do dzietności: ulgi podatkowe, nisko oprocentowane kredyty dostępne już od trzeciego miesiąca ciąży (z opcją późniejszego umorzenia), wreszcie sztandarowe programy CSOK, ułatwiające zakup nieruchomości ze wsparciem państwa. Do tego doszło zwolnienie z podatku dochodowego – najpierw dla matek czwórki, potem trójki, a ostatecznie dwójki dzieci. Jeszcze w niedawnej kampanii wyborczej Orbán chwalił się, że to ewenement na skalę europejską. Twarzą tych programów była Katalin Novák, która w 2022 r. objęła urząd prezydenta Węgier, by w lutym 2024 r. odejść w niesławie po wybuchu skandalu wokół ułaskawienia osoby zamieszanej w tuszowanie pedofilii.

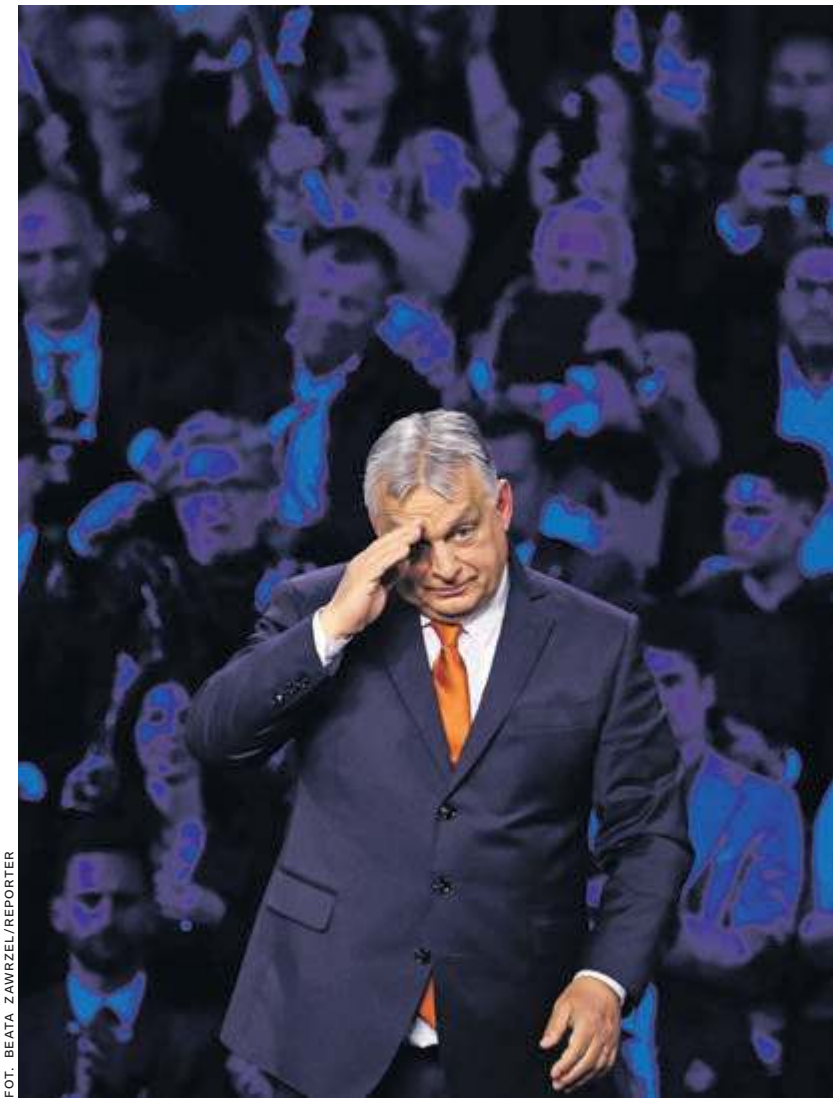

FOT. BEATA ZAWRZEL/REPORTER

Viktor Orbán na wiecu w czasie wizyty wiceprezydenta USA J.D. Vance'a w Budapeszcie. 7 kwietnia 2026 r.

Polityka prorodzinna działała, ale do czasu. Współczynnik dzietności wystartował z poziomu 1,25 w 2010 r., by w szczytowym 2021 r. osiągnąć wartość 1,61. Później jednak wskaźnik zaczął spadać i na koniec roku 2025 wyniósł 1,31. Przyczyn tego spadku demografowie upatrują m.in. w tym, że wcześniejszy wzrost wynikał głównie z „przyspieszenia" i tak planowanych urodzeń. Pary decydowały się na dzieci szybciej, by zdążyć skorzystać z państwowych ulg i preferencyjnych kredytów. Z analiz wynika, że wzrostowi współczynnika dzietności towarzyszyło podniesienie wieku rodzenia pierwszego dziecka. Głównym beneficjentem wsparcia stała się klasa średnia, która przez lata realnie odczuwała poprawę stopy życiowej (co paradoksalne, to właśnie ta grupa w 2026 r. najsilniej odwróciła się od Fideszu).

Mechanizm wsparcia zaciął się ostatecznie, gdy po 2020 r. w Węgry uderzył kryzys gospodarczy, któremu towarzyszył drastyczny wzrost kosztów życia i cen mieszkań. Został on dodatkowo spotęgowany wybuchem pełnoskalowej wojny rosyjsko-ukraińskiej 24 lutego 2022 r. W styczniu 2023 r. inflacja sięgnęła rekordowych 25,7 proc. – i to pomimo sztucznie regulowanych cen żywności oraz paliw (uwolnionych dopiero w grudniu 2022 r.). Ręczne sterowanie gospodarką przyniosło ostatecznie skutki odwrotne do zamierzonych, czyli niedobory podstawowych produktów i paliw. Z tej serii wstrząsów węgierska gospodarka nie zdołała się do tej pory podźwignąć.

Na to wszystko nałożyły się przemiany kulturowe ściśle powiązane z trendem późnego rodzicielstwa. Co prawda w ślad za programem wsparcia wyraźnie rosła liczba zawieranych małżeństw (w latach 2010–2025 zanotowano skok aż o 31,2 proc.), jednak wynikało to bezpośrednio z architektury systemu finansowego, który premiował sformalizowane związki. Co niezwykle ciekawe, system ten wpłynął również na zjawisko rozwodów. Średni wiek rozstań przesunął się powyżej 40. roku życia – do momentu, w którym dorastające dzieci wypadały z programów dotacyjnych, przez co formalne utrzymywanie małżeństwa z powodów ekonomicznych traciło sens.

Pozostaje jeszcze jeden wymiar sukcesu ery Orbána – ten czysto polityczny, opierający się na bezprecedensowej stabilności i silnej legitymacji władzy. Czterokrotne z rzędu zdobycie większości konstytucyjnej było w europejskiej polityce zjawiskiem wyjątkowym.

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. MAT. PRASOWE

# Wyboista droga Węgier do nowej przyszłości

*Zsolt* Zsebesi

Węgrzy zamknęli w końcu trwającą od 2010 r. do 2026 r. epokę zdominowaną przez autokratyczno-kleptokratyczny system rządów zaprowadzony przez Viktora Orbána. Ów długoletni wielkorządca praktycznie zlikwidował w kraju instytucje demokracji, niezależność władz oraz samorządność. Podporządkował sobie życie artystyczne, badania naukowe i edukację. Nie licząc mediów publicznych, będących na jego usługach, oddał w ręce swoich ludzi ok. 70 proc. prasy. Jednocześnie podporządkował sobie gospodarkę – rodzina, najbliższe otoczenie, pochlebcy oraz polityczni janczarzy błyskawicznie stawali się miliarderami dzięki zawłaszczaniu pieniędzy publicznych i przywłaszczaniu unijnych funduszy.

## Brakowało desperacji

Na Węgrzech od 10 lat obowiązuje stan zagrożenia migracyjnego, a od czterech stan zagrożenia wojennego, co wiąże się z ograniczaniem praw obywatelskich. Powołując się na te nadzwyczajne okoliczności, Orbán od ponad pięciu lat rządził dekretami, z pominięciem parlamentu.

W ciągu półtorej dekady silny człowiek Węgier wszedł na drogę konfrontacji z Unią Europejską i ogłosił politykę otwarcia na Wschód, co odbierano jako przygotowania do opuszczenia Wspólnoty. Jego promotor – obecny prezydent USA – widział Węgry w sojuszu ze Stanami, Rosją i Chinami. Z błogosławieństwem Donalda Trumpa Orbán podporządkował tym państwom politykę zagraniczną, jednocześnie szkodząc UE tam, gdzie to tylko było możliwe. Bruksela nie pozostała dłużna. Za sprawiane problemy, korupcję i nepotyzm zamroziła należne Budapesztowi fundusze. Właśnie to – obok porażki polityki otwarcia na Wschód – pogrążyło kraj w kryzysie gospodarczym.

Międzynarodowe ambicje Orbána – który rozpoczynał karierę jako przewodniczący Międzynarodówki Liberalnej – uczyniły go po odejściu z Europejskiej Partii Ludowej jednym z liderów populistycznej prawicy. Latami jako jedyny urzędujący europejski przywódca reprezentujący takie poglądy finansowo wspierał ruchy alt-prawicy na kontynencie. Utrzymywał też dobre relacje z niemiecką AfD oraz z partią Bracia Włosi premier Giorgii Meloni (choć stosunki te pogorszyły się z powodu jej proukraińskiej polityki). Przez 16 lat opozycja przegrywała wszystkie wybory. Był to efekt ordynacji skrojonej pod Fidesz Orbána, miażdżącej przewagi finansowej i medialnej partii rządzącej, lecz także własnej nieudolności i zbytniej ugodowości opozycji.

Niezadowolenie społeczne rosło, nie tylko wobec Orbána i jego systemu, ale również wobec opozycji, która przez cztery kolejne głosowania nie potrafiła ani pokonać Fideszu, ani niczego osiągnąć w parlamencie. W efekcie w społeczeństwie dominowało przekonanie, że systemu Orbána nie da się obalić metodami demokratycznymi, lecz zarazem brakowało społecznej zgody oraz desperacji potrzebnej do gwałtownego wystąpienia.

## Bieda i montownie

Wybory parlamentarne z 12 kwietnia nie przyniosły jedynie zmiany rządu, lecz także zmianę systemu politycznego. W istocie były referendum, w którym społeczeństwo odpowiadało na pytanie, czy chce nadal żyć w państwie stworzonym przez Orbána. W praktyce wybór został uproszczony do jednej kwestii: Bruksela czy Moskwa? Zaś w tej kwestii na Węgrzech od zawsze jest większość opowiadająca się za Europą.

Kluczową rolę w tym zwycięstwie odegrało powszechne niezadowolenie społeczne i katastrofalna sytuacja gospodarcza. Węgrzy coraz silniej odczuwają skutki stagnacji, spadku poziomu życia i wszechobecnej korupcji. Model gospodarczy oparty był nie na konkurencji i wydajności, lecz na powiązaniach politycznych. Sukces biznesowy bardziej zależał od relacji z władzą niż od kompetencji czy przedsiębiorczości. Społeczeństwo coraz bardziej drażniły ogromne fortuny budowane w błyskawicznym tempie dzięki zamówieniom publicznym i rażąco zawyżanym inwestycjom państwowym, podczas gdy zwykli obywatele ubożeli.

W ciągu półtorej dekady Węgry stały się jednym z najbiedniejszych oraz najbardziej skorumpowanych państw UE, z niższą konsumpcją i płacami niż dawni outsiderzy regionu, jak Rumunia czy Bułgaria. Strategicznym błędem było oparcie gospodarki na wzroście ekstensywnym: ciągłym zwiększaniu zatrudnienia i przyciąganiu kolejnych zagranicznych montowni, zamiast rozwoju sektorów wiedzy oraz wysokiej wartości dodanej. W efekcie kraj uzależnił się od wyników zagranicznych koncernów motoryzacyjnych i producentów ogniw.

Od 2022 r. produkcja przemysłowa spada, maleją inwestycje, kurczy się budownictwo. Po pandemii Węgry osiągnęły europejski rekord inflacji – ceny rosły w tempie ok. 25 proc. (żywność nawet 45 proc.). Forint osłabił się nie tylko wobec euro i dolara, ale też wobec walut regionalnych konkurentów, m.in. złotego. Ostatecznym

Owszem, Fideszowi sprzyjała w tym odpowiednio skrojona ordynacja wyborcza, ale i tak zwycięstwo z 2022 r. (zdobycie 135 z 199 mandatów) było spektakularne.

Triumf ten był możliwy dzięki bezbłędnemu wykorzystaniu efektu flagi po wybuchu wojny w Ukrainie. Rządząca koalicja skutecznie wykreowała się na jedynego gwaranta „pokoju i doświadczenia", podczas gdy całej opozycji przypięto łatkę „podżegaczy wojennych". Jednak to, co zadziałało doskonale cztery lata wcześniej, w końcu straciło swoją nośność – próba powtórzenia tej samej strategii przed miesiącem doprowadziła Fidesz do porażki.

## Przyczyny klęski

Orbán i jego otoczenie nie dostrzegli zmieniających się nastrojów społecznych. Ślepa wiara w optymistyczne raporty zaprzyjaźnionych ośrodków badawczych sprawiła, że do samego końca żyli w iluzji sukcesu. Zabrakło zdolności do autorefleksji, umiejętności przyznania się do pomyłek – obiektywnie trudno przecież oczekiwać, by jakakolwiek władza przez 16 lat ich nie popełniła.

W kwietniu instytut Medián zapytał Węgrów o przyczyny wyborczej porażki Orbána. Aż 49 proc. ankietowanych wskazało na korupcję, 18 proc. na pogarszającą się sytuację gospodarczą, a 15 proc. na kłamstwa władzy. Węgrzy nie odwrócili się więc od premiera przede wszystkim z powodu zapaści w ochronie zdrowia (8 proc.), prorosyjskiej i antyunijnej polityki (5 proc.) albo stanu edukacji (5 proc.). Tym bardziej nie zrobili tego wskutek mitycznych „wpływów zewnętrznych" (2 proc.).

W węgierskich realiach korupcja nie kojarzy się z kopertą z pieniędzmi. To zinstytucjonalizowany system faworyzowania swoich, przede wszystkim w postępowaniach przetargowych. Z latami nastąpił rażący rozdźwięk między pogarszającą się sytuacją ekonomiczną zwykłych obywateli a luksusowym życiem elit skupionych w ramach Narodowego Systemu Współdziałania (NER). To właśnie demontażu tego układu domagają się dziś zwolennicy partii TISZA, a jego rozliczeniem ma się zająć Narodowy Urząd Odzyskiwania i Ochrony Mienia, który najpewniej powstanie i rozpocznie działalność w ciągu kilku najbliższych tygodni.

Uwłaszczenie się elit na majątku państwa przekroczyło granice społecznej tolerancji. Choć sam premier w oświadczeniach majątkowych nie wykazywał wielkich dóbr, jego otoczenie opływało w luksusy. Symbolem tego bogactwa stała się rozległa posiadłość w Hatvanpuszcie, formalnie należąca do ojca Orbána. Kiedy były już poseł Ákos Hadházy ujawnił skalę tej inwestycji (a przy okazji to, że po tamtejszych włościach biegały sprowadzone zebry), czara goryczy ostatecznie się przelała.

Po drodze były też inne, mniej spektakularne potknięcia. Na przykład w 2014 r. rząd przeforsowywał pomysł opodatkowania korzystania z internetu, przez co wyprowadził na ulice węgierskich miast (głównie stolicy) setki tysięcy młodych obywateli. Z kolei nowelizacja kodeksu pracy z 2018 r. – potocznie zwana „ustawą niewolniczą" – drastycznie podnosiła limit nadgodzin do 400 rocznie, z czego 250 pracownik miał obowiązek przepracować na żądanie pracodawcy. Do tego doliczono 36-miesięczny – uszyty na miarę potrzeb koncernów motoryzacyjnych – okres rozliczeniowy. Podpisaniu ustawy towarzyszyły jedne z największych masowych protestów w kraju, ponieważ nowe prawo pracy uderzało we wszystkich obywateli, niezależnie od ich sympatii politycznych. To był też początek współpracy opozycji w systemie „wszyscy na jednego", a więc konglomeratu różnych partii, które chciały odsunięcia Orbána od władzy. Z uwagi na to, że w 2022 r. ten plan się nie powiódł, rozczarowany elektorat stał się od 2024 r. naturalnym zapleczem politycznym TISZ-y.

Kwestią, która w dużej mierze zraziła do Fideszu młode pokolenie, była decyzja z 2021 r. o reformie szkolnictwa wyższego. Państwowy nadzór nad uczelniami zastąpiono specjalnie powołanymi fundacjami. Mechanizm był prosty: rząd zatwierdzał skład ich władz tylko przy ich powołaniu. Następnie kompetencja ta została na stałe scedowana na same fundacje, a państwo straciło nad nimi jakąkolwiek kontrolę. Podmioty te nie tylko przejęły nadzór nad budżetem, strategią rozwoju czy wyborem (a właściwie mianowaniem) rektorów i dziekanów, lecz także stały się właścicielami wielomiliardowego uniwersyteckiego majątku. Zgodnie z ustawą przekazano im aportem całe kampusy – budynki i pełne wyposażenie, także badawcze. To właśnie z powodu tej prywatyzacji uczelni Komisja Europejska zablokowała Węgrom dostęp do środków z unijnych programów Erasmus+ oraz Horyzont (program ramowy w zakresie badań naukowych i innowacji). TISZA obiecuje dziś likwidację fundacji i przywrócenie transparentnych zasad, które pozwolą uczelniom na równe i sprawiedliwe ubieganie się o finansowanie.

Warto również pamiętać, że w 2026 r. prawa wyborcze uzyskali młodzi ludzie, którzy w 2016 r. i 2018 r. aktywnie protestowali przeciwko zmianom w systemie edukacji. Wdrażane wówczas reformy skutkowały m.in. pozbawieniem dyrektorów szkół autonomii, w tym również swobody w zakresie realizacji podstawy programowej. Kolejna fala protestów miała miejsce w latach 2022 i 2023.

## Kierunek dla Węgier

Dziś, gdy Péter Magyar i formacja TISZA przejmują stery z bezprecedensowym mandatem, Węgry wkraczają na całkowicie nieznane terytorium. Najbliższe lata pokażą nie tylko to, czy nowa ekipa zdoła trwale zdemontować struktury państwa zbudowanego przez Fidesz, lecz także to, na ile będzie chciała je demokratyzować, a na ile postanowi je wykorzystać dla siebie. A może – na co liczy Viktor Orbán – szybko ugnie się pod ciężarem wziętej na siebie odpowiedzialności i będzie musiała odejść. ©℗

eprasa.pl 1db1d53a52

ciosem okazało się zamrożenie funduszy unijnych. Kwoty te, odpowiadające ok. 3–4 proc. PKB, w dużej mierze napędzały wzrost gospodarczy. Ich brak doprowadził do stagnacji.

## Kraj się sypie

Jednym z największych problemów odziedziczonych po 16 latach rządów Orbána jest stan finansów publicznych. Budżet w ostatnich latach był wielokrotnie korygowany, bo założenia dochodowe okazywały się nierealne. Deficyt utrzymywał się w pobliżu 5 proc. PKB, a dług publiczny stale rósł. W samym tylko pierwszym kwartale 2026 r. deficyt budżetowy osiągnął ok. 80 proc. planu rocznego, sięgając równowartości niemal 10 mld euro. To pokazuje skalę nierównowagi, z jaką będzie się musiał zmierzyć nowy gabinet Pétera Magyara.

Jednak naprawa gospodarki to tylko część zadania. Równie pilne jest odbudowanie usług publicznych. System edukacji jest przestarzały i wymaga gruntownej reformy. Problem stanowi nie tylko jakość nauczania, lecz także brak nauczycieli, który zagraża normalnemu funkcjonowaniu szkół. Służba zdrowia również znajduje się w głębokim kryzysie. W szpitalach brakuje lekarzy, a jeszcze bardziej personelu pomocniczego. Wiele placówek jest niedoinwestowanych, przestarzałych i nie spełnia współczesnych standardów. Stan infrastruktury transportowej też budzi poważne obawy. Węgierska kolej znajduje się w stanie postępującego rozkładu. Pociągi często ulegają awariom w trasie, połączenia są odwoływane, znaczna część taboru ma 50–60 lat. Potężna część dróg krajowych i lokalnych jest w złym stanie technicznym.

Szczególnie trudna jest sytuacja samorządów. Przez lata ograniczano ich dochody, przekierowując wpływy podatkowe do budżetu centralnego. Odebrano im szkoły i szpitale, pozostawiając ograniczone kompetencje i niewystarczające środki finansowe. Aby zdobyć pieniądze na podstawy funkcjonowania, lokalne władze musiały co roku ubiegać się o wsparcie z budżetu centralnego. O przyznaniu środków często decydowała polityczna lojalność. Samorządy związane z partią rządzącą mogły liczyć na pomoc, opozycyjne znacznie rzadziej.

Budapeszt rządzony przez opozycję znajdował się pod szczególną presją. Stolica nie tylko nie otrzymywała wystarczającego wsparcia państwa, lecz także była zobowiązana do wpłacania wysokiej składki solidarnościowej (miasta o wyższych dochodach musiały oddawać część pieniędzy miastom o skromniejszych zasobach; w latach 2018–2026 kwota corocznie odbierana stolicy Węgier w ramach składki wzrosła 20-krotnie i osiągnęła 265 mln euro w 2025 r., co stanowiło 30 proc. całkowitych dochodów miasta), co wielokrotnie spychało ją na skraj kryzysu finansowego. Brakowało środków zarówno na rozwój, jak i na funkcjonowanie usług komunalnych.

## Szalona impreza

Przyszły premier ogłosił, że jego rząd będzie tworzyło 16 ministerstw. Po raz pierwszy od dekady resorty zdrowia i edukacji będą samodzielne; za rządów Orbána podlegały MSW, którym przez lata kierował generał policji. Ministrami mają być eksperci, więc można zasadnie twierdzić, że Péter Magyar zamierza uporządkować kraj stojący na krawędzi bankructwa. To dlatego też już dzień po zwycięstwie poleciał do Brukseli, a następnie do Budapesztu przybyła delegacja unijna, by negocjować jak najszybsze odblokowanie zamrożonych ok. 17 mld euro.

Po wyborach akcje firm należących do miejscowych oligarchów straciły ok. 30 proc. wartości, podczas gdy akcje spółek niezależnych od władzy zaczęły rosnąć. Umocnił się forint, bo Magyar ogłosił, że rozpocznie przygotowania do wprowadzenia euro. Rynki pozytywnie przyjęły również fakt, że nowy rząd potwierdził zamiar współpracy z prezesem Narodowego Banku Węgier, mianowanym jeszcze przez Orbána.

Nowy rząd stoi więc przed zadaniem o historycznej skali: jednoczesnego uzdrowienia państwa, przywrócenia rządów prawa, odbudowy gospodarki oraz naprawy instytucji publicznych. Po raz pierwszy od wielu lat pojawiła się jednak realna możliwość, że Węgry wejdą na inny kurs — bardziej europejski, bardziej demokratyczny i bardziej przewidywalny.

Na razie w społeczeństwie węgierskim dominuje świąteczny, pełen nadziei nastrój. Na dzień zaprzysiężenia premiera, 9 maja, zaplanowano wielką uroczystość i szaloną imprezę na pl. Kossutha przy parlamencie w Budapeszcie. ©℗

Autor jest dziennikarzem, publicystą, pracował w węgierskiej agencji prasowej (Magyar Távirati Iroda) i czołowych węgierskich dziennikach „Népszabadság” i „Népszava”)

### Największe afery epoki Orbána

## Córka i zięć jak Bonnie i Clyde

István Tiborcz jest mężem najstarszej córki Viktora Orbána – Ráhel. Po raz pierwszy stało się o nim głośno w przestrzeni publicznej w związku ze spółką Elios Innovatív Zrt., która otrzymała kontrakt na montaż finansowanego przez Brukselę oświetlenia ulicznego LED. Należąca do niego firma seryjnie wygrywała samorządowe przetargi. OLAF, Europejski Urząd ds. Zwalczania Nadużyć Finansowych, ujawnił m.in. ustawianie konkursów i zawyżanie cen. I zalecił, by Unia nie wypłacała całości dotacji i zażądała zwrotu już przelanych pieniędzy. Jednak to nie Elios Innovatív Zrt. oddała 43 mln euro; zostały one przelane do Brukseli z budżetu państwa. Innymi słowy – wszyscy węgierscy podatnicy zrzucili się na Tiborcza i jego wspólników.

Po tej aferze Tiborcz usunął się w cień i po cichu zaczął przejmować zamki, luksusowe hotele, pałace w centrum miast, a także udziały bankowe i fundusze private equity. Z kolei Ráhel Orbán stała się znaczącą postacią branży turystycznej – bo na inwestycje w tym sektorze dawano miliony euro bezzwrotnych dotacji państwowych. Korzystały z tego na potęgę firmy Tiborcza.

Kolejny skandal wybuchł, gdy państwo kupiło za gigantyczną sumę biurowce, które sprzedawał Tiborcz. W przestrzeni publicznej afera funkcjonowała jako biznes biurowcowy za 2 mld euro. Mechanizm przekrętu był prosty: rodzina sprzedała, państwo kupiło. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że budowę biurowców finansował bank bliski władzy. Oznacza to, że Tiborcz otrzymał nieoprocentowaną pożyczkę od państwa, a następnie państwo odkupiło od niego budynki po znacząco zawyżonej cenie.

Politycznym smaczkiem jest, że przed dwoma ostatnimi wyborami parlamentarnymi rodzina przenosiła się za granicę. Jakby sygnalizując, że w razie zmiany rządu lepiej nie być na miejscu. Obecnie zięć i córka Orbána z dużym prawdopodobieństwem spędzą dłuższy czas w USA. 39-letni Tiborcz stał się w ciągu zaledwie dekady drugim najbogatszym człowiekiem na Węgrzech. Jego majątek szacuje się nawet na 1,5 mld dol.

## Klan Matolcsych

Na Węgrzech mówi się o tym jako o największym napadzie na bank w historii świata. Chodzi o ok. 1,5 mld dol., które wyparowały z banku centralnego, i których od roku poszukuje policja. Cały czas nie ma jednak ani podejrzanych, ani postępu w sprawie. Najciekawsze jest to, że napadu miał dokonać sam prezes Magyar Nemzeti Bank György Matolcsy.

Chodzi o zyski banku powstałe w czasie kryzysu kredytów frankowych, które zostały wyprowadzone przez prezesa i ulokowane w fundacjach, a następnie w prywatnych funduszach, w których rozpłynęła się niemal cała kwota. Orbán, pytany o zaginione pieniądze, powiedział, że nie chce przesądzać o niczyjej winie, lecz czuje się bardzo niekomfortowo, bo jest wdzięczny Matolcsyemu za opracowanie fundamentów jego polityki gospodarczej. György Matolcsy był prawą ręką Orbána w sprawach gospodarczych; najpierw ministrem finansów, potem prezesem MNB.

Większa część ogromnej sumy przepadła, zaś resztę syn Györgya – Ádám Matolcsy – wyprowadził do Zjednoczonych Emiratów Arabskich, gdzie zamieszkał. ©℗

# Państwo skrajności

**Niemal 2 mln Izraelczyków – w tym 900 tys. dzieci – żyje poniżej granicy ubóstwa. Bieda dotyka głównie Arabów, ultraortodoksyjnych Żydów i seniorów**

*Nina*

Nowakowska

Choć w zbiorowej wyobraźni Izrael niekiedy uchodzi za bliskowschodnią Dolinę Krzemową, sytuacja ekonomiczna wielu mieszkańców znacząco odbiega od tego wizerunku. Pod koniec stycznia szerokim echem w tamtejszych mediach odbiły się wyniki raportu dotyczącego ubóstwa, przygotowanego przez Instytut Ubezpieczeń Społecznych (Bituah Leumi, NII). Wynika z niego, że w 2024 r. blisko 2 mln Izraelczyków – jedna piąta populacji – żyje w biedzie.

Granica ubóstwa dla osoby samotnej wynosi w Izraelu nieco ponad 3,5 tys. szekli (ok. 4,2 tys. zł) miesięcznie. W przypadku pary próg ten wzrasta do 7,1 tys. szekli (8,4 tys. zł). Pięcioosobowa rodzina jest uznawana za ubogą, jeśli jej dochód spadnie poniżej 13,3 tys. szekli (15,7 tys. zł).

Raport pokazuje, że bieda dotyka 28 proc. izraelskich dzieci (w 2023 r. było to 27,6 proc.), czyli ok. 900 tys. Pod tym względem Izrael zajmuje niechlubne drugie miejsce wśród państw OECD, zaraz po Kostaryce, której wydatki publiczne na opiekę społeczną są wyraźnie poniżej średniej krajów rozwiniętych. Autorzy raportu podkreślają też, że sytuacja ekonomiczna izraelskich rodzin wciąż się pogarsza. Powody to przedłużający się stan wojenny, wysokie koszty życia i słaba dynamika wzrostu gospodarczego.

„Dane dotyczące ubóstwa za 2024 r. (...) należą do najbardziej niepokojących w historii” – komentował na łamach „The Jerusalem Post” Gilles Darmon, prezes organizacji charytatywnej Latet. Zdaniem Darmona liczby te ostatecznie burzą mit Izraela jako państwa opiekuńczego. „Na papierze Izrael ma programy socjalne podobne do tych w Europie. Jednak w praktyce zakres wsparcia oraz liczba osób, które one obejmują, są dramatycznie niskie. Wniosek jest nieunikniony: izraelska sieć bez-

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. MOSTAFA ALKHAROUF/ANADOLU VIA GETTY IMAGES

Stare Miasto w Jerozolimie, 9 kwietnia 2026 r.

pieczeństwa społecznego jest słaba" – konkluduje.

Dla Michała Wojnarowicza, analityka PISM ds. Izraela i Palestyny, dane nie były zaskoczeniem. – Biorąc pod uwagę siłę gospodarki, budżet czy rezerwy walutowe, można odnieść wrażenie, że mamy do czynienia z jednym z najbogatszych i najlepiej rozwiniętych gospodarczo państw na świecie. Jednak wbrew powszechnym wyobrażeniom Izrael łączy w sobie zarówno elementy skrajnego bogactwa, jak i skrajnej biedy – podkreśla ekspert. I dodaje, że bieda ma tam zwykle związek z uwarunkowaniami społeczno-religijnymi. Według raportu Instytutu Ubezpieczeń Społecznych większość dzieci żyjących poniżej granicy ubóstwa pochodzi z rodzin ultraortodoksyjnych Żydów (charedim) lub społeczności arabskiej, której dużą część stanowią Palestyńczycy. – To dwie najsłabsze ekonomicznie grupy w kraju – dodaje Wojnarowicz.

## Niewykorzystany zasób

Arabowie i charedim stanowią ponad 65 proc. osób żyjących w biedzie, mimo że odpowiadają za prawie dwukrotnie niższy odsetek populacji. Dla porównania wśród rodzin żydowskich niebędących charedim wskaźnik ubóstwa sięga 14 proc. Pozostała jedna trzecia obywateli w trudnej sytuacji materialnej to m.in. imigranci z byłego Związku Sowieckiego czy Etiopii.

Bieda w społeczności arabskiej ma strukturalne przyczyny. – To grupa, która od wielu lat podlega systemowej dyskryminacji, jeśli chodzi o dostęp do świadczeń, usług publicznych, dobrej infrastruktury i edukacji. Niedostatki i zaniedbania rozwojowe są na tyle duże, że przekładają się na status społeczno-ekonomiczny – tłumaczy analityk PISM. Jego zdaniem kolejny ważny czynnik to służba wojskowa, która nie tylko ułatwia nawiązywanie kontaktów biznesowych, lecz także wpływa na pozycję na rynku pracy. – Izraelscy Arabowie nie są objęci poborem, przez co już na początku kariery zawodowej znajdują się o parę kroków z tyłu i trudniej im osiągnąć sukces zawodowy. Do tego dochodzi wciąż silny w tej grupie tradycyjny model rodziny, który wpływa zarówno na udział kobiet w gospodarce, jak i dużą liczbę dzieci w gospodarstwie domowym.

Według eksperta ubóstwo ultraortodoksyjnych Żydów jest bardziej związane z wyborem stylu życia. Chodzi o prymat studiów religijnych nad pracą oraz kontestację świeckiej edukacji czy nauki języka angielskiego. – Jeśli spojrzymy na dane statystyczne, to widać, że ultraortodoksyjne rodziny utrzymują się głównie dzięki pracy kobiet. Ponadto grupa ta w dużej mierze polega na pomocy państwa: stypendiach, dotacjach i społecznym systemie filantropijnym. Są szacunki pokazujące, że Arabowie i ultraortodoksi są dużym i niewykorzystanym zasobem w gospodarce – zauważa Michał Wojnarowicz.

Skala ubóstwa wśród charedim ma związek z wielodzietnością. – Wśród ultraortodoksyjnych Żydów na kobietę przypada średnio sześcioro dzieci, a granice ubóstwa są wyznaczone wedle wielkości rodziny. Mimo to ludziom udaje się jakoś funkcjonować. Chodzi tu raczej o niedostatek niż o biedę, którą obserwujemy w Afryce czy niektórych państwach Azji – dodaje analityk.

Spory odsetek Izraelczyków żyjących poniżej linii ubóstwa to ludzie starsi. Instytut Ubezpieczeń Społecznych szacuje ich liczbę na ok. 158 tys. – więcej niż wynosi średnia OECD. Wśród nich są ocaleni z Zagłady (Szoa). Według danych ejewishphilanthropy.com za 2025 r. 40 proc. z ponad 220 tys. Żydów, którzy przeżyli Holokaust, w czasie zbierania danych żyło w biedzie, z czego ponad jedną czwartą stanowili obywatele Izraela. Osoby te utrzymują się dzięki „skromnym emeryturom, sporadycznym zasiłkom dla ocalałych oraz pomocy społecznej". – To również pokazuje, że Izrael – z przyczyn biurokratycznych czy systemowych – nie jest w stanie zapewnić odpowiednich warunków czy nawet godnego bytu symbolicznie bardzo ważnej grupie ludności – zauważa Michał Wojnarowicz.

## Bieda w stanie wojennym

O ile w przypadku społeczności arabskiej główną przyczyną trudnej sytuacji materialnej jest systemowe wykluczenie, o tyle w przypadku ultraortodoksyjnych Żydów sprawa jest bardziej złożona. – Mają oni większe rodziny i skupiają się na religii kosztem pracy zarobkowej, licząc jednocześnie na to, że dzięki pomocy państwa uda im się związać koniec z końcem. Warto jednak dodać, że z powodu rosnących kosztów życia również w tej części społeczeństwa widać pewne zmiany: od kilkunastu lat sukcesywnie rośnie zatrudnienie wśród mężczyzn – podkreśla Wojnarowicz.

Sytuację materialną najbardziej wrażliwych grup pogorszył permanentny stan wojenny, który trwa od wybuchu wojny w Strefie Gazy. Jak zauważa w swoim artykule Gilles Darmon, przez ponad dwie dekady przywódcy uzasadniali bezczynność w kwestii ubóstwa rzekomym brakiem pieniędzy w budżecie. „Wojna zdezaktualizowała ten argument. W obliczu egzystencjalnego zagrożenia militarnego Izrael zmobilizował ogromne zasoby finansowe, nie podważając przy tym stabilności gospodarczej" – dowodzi społecznik.

Ubiegłoroczne szacunki Banku Izraela wskazują, że wojna w Strefie Gazy kosztowała państwo ok. 350 mld szekli (ponad 414 mld zł). Do tych wydatków teraz trzeba dołożyć koszty wojny z Iranem. – Jeszcze w 2024 r. pojawiały się informacje, że w wyniku wojny w Strefie Gazy upadło kilkadziesiąt tysięcy izraelskich biznesów. Funkcjonowanie w trybie wojennym, czyli powołanie rezerwistów i oderwanie ich od pracy, to bolesny cios w gospodarkę. Do tego dochodzą inne koszty, np. programów osłonowych, żołdu dla żołnierzy i odszkodowań za zniszczenia wojenne. W zeszłym roku podniesiono różne podatki, m.in. VAT, oraz przeprowadzono cięcia budżetowe. To pokazuje, jak rząd stara się sfinansować tę najdłuższą wojnę w historii kraju i jak dotyka to samych Izraelczyków – ocenia Michał Wojnarowicz.

Niepewność ekonomiczna będzie się utrzymywać, bo nie ma jasnej perspektywy na wygaszenie napięć w regionie. Niewykluczone, że wojna z Iranem przerodzi się w ograniczony konflikt na wyczerpanie, a to będzie oznaczać kolejne koszty i zniszczenia. – Izrael boryka się również ze stratami wizerunkowymi, czego wyrazem są bojkoty i przypadki zerwania współpracy przez niektóre podmioty czy zagranicznych partnerów. Na to wszystko nakładają się wysokie – i wciąż rosnące – koszty życia. Probierzem są tu chociażby ceny mieszkań; sam Tel Awiw jest obecnie jednym z najdroższych miejsc do życia na świecie – podkreśla mój rozmówca.

Nawet klasa średnia nie ma łatwo. Jak zaznaczają autorzy przeglądu gospodarczego OECD z kwietnia 2025 r., „dobrobyt gospodarczy zależy od cen towarów i usług w stosunku do dochodów. Jednak poziom cen w Izraelu jest wyższy niż można by oczekiwać na podstawie jego PKB na mieszkańca". Kraj ten uchodzi za gospodarkę startupów, nowych technologii i wielomiliardowych transakcji z zagranicznymi firmami, ale zyski z sektora high tech trafiają do wąskiej grupy osób. – Mocno ucierpiała również branża turystyczna, która odgrywa w Izraelu istotną rolę. Od kilku lat odradza się podróże do Izraela osobom z zagranicy, a rozwinięta turystyka nie zaspokoi się jedynie klientem wewnętrznym – dodaje Wojnarowicz.

Zagrożenie wojenne i szalejąca drożyzna powodują, że narasta fala emigracji. Z danych Centralnego Urzędu Statystycznego (CBS) wynika, że w 2023 r. 82,8 tys. Izraelczyków wyjechało z kraju na dłuższy czas. To wzrost o 44 proc. w porównaniu z rokiem poprzednim. Liczba osób opuszczających kraj gwałtownie wzrosła po ataku terrorystycznym Hamasu z 7 października ▷

eprasa.pl 1db1d53a52

2023 r. i utrzymywała się na wysokim poziomie przez cały 2024 r. – w ciągu pierwszych ośmiu miesięcy wyjechało wtedy prawie 50 tys. Izraelczyków. W 2025 r. wyemigrowało kolejnych 70 tys. obywateli (wróciło 19 tys.).

## Bezpieczeństwo ważniejsze niż drożyzna

Jak przyznaje Michał Wojnarowicz, choć wątki ekonomiczne przewijają się w trwającej kampanii wyborczej, to na razie nie wzbudzają w elektoracie większych emocji. Dominują przede wszystkim tematy polityczne i personalne, których bohaterami są premier Binjamin Netanjahu i jego skrajni koalicjanci. Trudno o analogię do polskiej kampanii w 2023 r., w której kwestia drożyzny należała do wiodących. – W spokojniejszych latach opozycja atakowała rząd wysokimi kosztami życia, mieszkalnictwem, problemami klasy średniej i ubóstwem, w tym związanym z sytuacją mniejszości arabskiej. Pamiętam kampanię wyborczą sprzed kilku lat, w której sam Netanjahu grał tematem poprawy sytuacji socjoekonomicznej ludności arabskiej, próbując pozyskać ten elektorat – wspomina ekspert. W badaniu przeprowadzonym przez Izraelski Instytut Demokracji w maju 2023 r., czyli przed atakami terrorystycznymi Hamasu, największy odsetek respondentów – ok. jednej trzeciej– uznała wysokie koszty utrzymania za najważniejszy problem kraju. Wojna zepchnęła te sprawy na dalszy plan. – W Izraelu kwestie gospodarcze są ważne, ale drugorzędne w porównaniu z bezpieczeństwem – dodaje analityk PISM.

Emocje wciąż za to rozpala trwający od dawna konflikt świeckich obywateli z ultraortodoksami. – Izraelska klasa średnia jest sfrustrowana tym, że jej podatki i służba wojskowa służą utrzymaniu sposobu życia osób ultrareligijnych, które nie chcą się integrować z resztą społeczeństwa. To jedno z większych źródeł napięć w kraju. Politycy często nawiązują do tego sporu w swoich postulatach – mówi Wojnarowicz.

Niewykluczone, że gabinet Netanjahu poświęci więcej uwagi sytuacji ekonomicznej obywateli na późniejszym etapie kampanii. – Rząd planuje np. obniżenie podatku dochodowego czy dopłaty do kredytów hipotecznych. To pokazuje znajome schematy: jeśli w roku wyborczym władza może uchwalić pewne prawa, dzięki którym zyska większe poparcie przy urnach, to je uchwali – uważa ekspert.

W 2013 r. ówczesny rząd powołał tzw. komisję Elaloufa, która miała przygotować kompleksową strategię walki z ubóstwem i nierównościami. Wniosek był jednoznaczny: rocznie wystarczyłoby 8 mld szekli (ok. 9,7 mld zł), aby zbliżyć wskaźniki ubóstwa w Izraelu do poziomu innych krajów OECD. Suma ta stanowi ułamek wydatków wojennych. Jak podsumował Gilles Darmon, „pytanie nie brzmi więc, czy Izrael może sobie pozwolić na walkę z ubóstwem, lecz czy się na nią zdecyduje”. ©℗

# Kraj

# O Unii trzeba mówić prawdę

**Stawiam czasem prowokacyjną tezę, mówiąc: mam nadzieję, że będziemy dostawać z UE jak najmniej, bo to będzie oznaczać, że jesteśmy bogatsi niż inne państwa. Silne kraje dopłacają do Unii od lat i jakoś nie chcą z tego powodu z niej wychodzić**

*Z Janem*

## Olbrychtem

*rozmawia* Marcin Fijołek, Polsat

**O czym rozmawiał pan z papieżem?**

Powiedzieliśmy papieżowi Leonowi XIV o naszej konferencji na temat roli chrześcijan w procesie integracji europejskiej, którą przygotowujemy na wrzesień w Krakowie. Miałem zaszczyt uczestniczyć w audiencji, rozmowie i wspólnym zdjęciu. Bardzo dobry czas.

**Co to za konferencja?**

Organizujemy ją co roku, teraz już po raz 26. Przed laty młodzi ludzie ze Śląska wraz z ówczesnym biskupem Tadeuszem Pieronkiem postanowili poruszyć najważniejsze i najbardziej aktualne tematy dotyczące spraw europejskich i prześwietlić je przez pryzmat chrześcijaństwa. Od śmierci bp. Pieronka konferencję organizuje głównie fundacja jego imienia. W dyskusji biorą udział przedstawiciele wielu kościołów, ale też politycy, dziennikarze, naukowcy. Bardzo się cieszymy, że w tym roku patronat nad konferencją objął kard. Grzegorz Ryś. Hasłem wiodącym będzie pytanie: ile Europ w Europie? Będziemy rozmawiać o podziałach, ale i o elementach integrujących, o nowych wyzwaniach płynących z instrumentalizacji religii w celach politycznych czy z użycia sztucznej inteligencji. Wręczymy nagrodę im. bp. Pieronka. Zapraszam, będzie ciekawie.

**Na pewno, ale co dzisiejszej polityce może dać chrześcijaństwo czy słowo Leona XIV? Parafrazując klasyka: na pytanie o liczbę dywizji Watykanu wciąż jest ta sama odpowiedź.**

Pytanie o liczbę dywizji pozostaje takie samo, ale chrześcijaństwo to bardzo realna siła, jeśli chodzi o oddziaływanie. Katolicy na świecie to ogromna liczba obywateli, a sam Kościół – z racji tego, że ma charakter hierarchiczny – wywiera wpływ przez słowa papieża, nawet jeśli na pierwszy rzut oka wydają się one słabsze od rakiet czy czołgów. Ostatnio widać to wyraźnie po wymianie zdań i dokumentów między Leonem XIV a Donaldem Trumpem. Rozmawiamy w dniu, w którym w Watykanie ma się pojawić Marco Rubio, a kilka godzin później premier Donald Tusk. I to nie są tylko kurtuazyjne wizyty – dotyczą konkretnych kwestii dla Europy i szerzej: dla świata.

**To zejdźmy na poziom konkretu. Spędził pan 20 lat w Parlamencie Europejskim. Czy obecny model funkcjonowania Unii ma jeszcze przyszłość?**

Unia Europejska jest żywym organizmem, który zmienia się w zależności od sytuacji wewnętrznej i zewnętrznej. Czasem dotyczy to tak namacalnych spraw jak rozszerzenie, a innym razem instrumentów, jakimi Unia dysponuje. Słyszę czasem krytykę, że coraz bardziej widać jedno państwo i samowolę bliżej nieokreślonej „Brukseli”. To bajki i kłamstwa, bo realnie decyzje zapadają na spotkaniach szefów państw narodowych: premierów, a w przypadku Francji prezydenta. Brakuje jednak skutecznej, profesjonalnej polityki informacyjnej na temat Wspólnoty: na czym polegają dzisiejsze wyzwania, gdzie są wspólne interesy państw członkowskich, a gdzie rozbieżności. Na to pole, oddane momentami walkowerem, wchodzą przeciwnicy UE, którzy, bazując na braku wiedzy, wciskają uproszczenia i krok po kroku przejmują inicjatywę, jeśli chodzi o codzienną opowieść o tym, co się dzieje w UE.

**Pytanie, czy to tylko kwestia narracji i polityki informacyjnej. Komisja Europejska lubi rozpychać się poza swoje kompetencje, Parlament Europejski narzeka, że jest pomijany – choćby przy umowie z Mercosurem. Nie jest to tylko prosta opowieść o idealnym świecie zatruwanym przez złych czarnoksiężników z fake newsami.**

Dlatego trzeba o UE mówić prawdę. Tak, to nie jest świat idealny – nigdy nie był i nigdy nie będzie. Mamy całą część polityczną, a w niej duże napięcia między PE a Radą Europejską. To naturalne: w parlamencie są przecież przedstawiciele partii, które często są w opozycji do przedstawicieli rządów podejmujących decyzje w Radzie UE. A czy administracja Komisji Europejskiej ma tendencję do rozbudowania się i rozpychania? Oczywiście, tak jak każda administracja. Skonstruować przepis, który będzie obowiązywać w 27 krajach, to wbrew pozorom nie jest prosta sprawa. Nie może być zbyt ogólny, ale i zbyt szczegółowy, na to nakładają się regulacje poszczególnych państw. Ale trzeba wrócić do istoty sprawy: UE to żywy organizm i to oczywiste, że działa on inaczej niż w 2004 r., gdy do niej wchodziliśmy.

**8 maja Polska podpisze umowę w ramach programu SAFE. Tak jak przy okazji Krajowego Planu Odbudowy i pożyczki dla Ukrainy, zadłużamy się w tym przypadku jako Unia Europejska. Niektórzy widzą w tym moment hamiltonowski, za którym UE staje się de facto państwem, bo ma wspólny dług.**

Wyczuwam w pana pytaniu obawę, ale trzeba na to spojrzeć szerzej. Już w czasie pandemii koronawirusa zapadła decyzja o zmianie Unii Europejskiej i nie ma co tego ukrywać. UE, zaciągając tego typu poważne zobowiązania i kredyty na rynkach finansowych, zmienia swój charakter.

**Na lepszy?**

Zwolennicy silniejszej integracji europejskiej mówią, że to korzystne, bo wzmacnia Unię, tworzy z niej poważnego gracza, który jest zdolny odpowiedzieć na wyzwania, jakie przynosi historia. A często narzekano na tempo czy skalę reakcji Unii. Natomiast pozostaje na razie otwarte pytanie, czy traktujemy te przypadki zaciągnięcia wspólnego długu jako jednorazowe, wymuszone okolicznościami pandemii i wojny, czy uruchamiamy mechanizm, jaki proponuje Emmanuel Macron, czyli zaczynamy rolować dług jak państwa narodowe. Christine Lagarde z Europejskiego Banku Centralnego nie od wczoraj postuluje stworzenie przejrzystego mechanizmu stałego zadłużania się Unii. I tak, to jest postulat, który diametralnie zmienia UE w porównaniu z 2004 r. Nie zwalnia nas to jednak z zadawania pytań, choćby o to, czy skoro idziemy we wspólne zadłużenie, to trzeba mieć też wspólne dochody własne.

**Unijne podatki?**

Ale nie w sensie nakładania ich na obywateli, tylko np. podatku węglowego na granicy z UE, dyskutowanego od wielu lat podatku cyfrowego

eprasa.pl 1db1d53a52

dla amerykańskich gigantów technologicznych czy podobne rozwiązania. Gdyby je wprowadzono, to nieco wtórna stałaby się dyskusja o tym, jakie składki członkowskie wpłacają poszczególne państwa. Ale jeśli uznamy, że to zbyt daleko idące, to pozostaje pytanie: jak spłacić to zadłużenie?

**No właśnie, jak?**

Dzisiaj są trzy możliwości. Pierwsza to zwiększyć składkę członkowską. Ale tu państwa podniosą larum, zwłaszcza że jest wojna i trzeba wydawać pieniądze na własne bezpieczeństwo. Druga – cięcia w politykach europejskich. Mniej pieniędzy na politykę spójności? A może na rolną? A może przekażemy mniej pięniędzy na konkurencyjność i badania naukowe? Jest jeszcze trzecia: stworzenie nowych dochodów własnych UE. Oczywiście pozostaje też odsunięcie w czasie spłaty.

**Czyli proponowane przez Macrona rolowanie długu.**

Tak. Ale to oznacza kolejne zadłużanie się i przesuwanie tej granicy, a problem znalezienia pieniędzy odkładamy na później, zapewne na następne pokolenia. Pokazuję to wszystko nie po to, by straszyć czy prezentować wielki entuzjazm, ale po to, by wyjaśnić, jaka czeka nas dyskusja w najbliższych latach, miesiącach, a może i tygodniach.

**Ta dyskusja będzie miała jeszcze jeden, dużo prostszy wymiar. Lada moment staniemy się w UE płatnikiem netto. Łatwo będzie wykazać, że doiliśmy ten interes przez lata, ale teraz dokładamy. Do tego dochodzą ETS, klimatyczne zobowiązania, normy, Mercosur, podatki...**

I na końcu zostaje pytanie: po co w ogóle jeszcze jesteśmy w Unii Europejskiej? To kluczowe zagadnienie. Zwolennicy integracji nie mogą się bać takich pytań i powinni umieć precyzyjnie na nie odpowiadać. Z jednej strony to kwestia bezpieczeństwa, ale z drugiej – gospodarka, rozwój, rosnące bogactwo. Stawiam czasem prowokacyjną tezę, mówiąc: mam nadzieję, że będziemy dostawać z UE jak najmniej, bo to będzie oznaczać, że jesteśmy bogatsi niż inne państwa. Ale wiem też, że w uproszczonym przekazie łatwo będzie opowiedzieć tę historię tak, jak pan ją narysował. Silne kraje dopłacają do UE od lat i jakoś nie chcą z tego powodu z niej wychodzić. Wszyscy na tym korzystamy: na poziomie wspólnego rynku, wymiany handlowej itd. Tak, są miejsca i momenty, gdy musimy pozyskiwać sojuszników, co nie jest łatwe, bo czasem się przegrywa bitwę albo dwie o konkretne sprawy. Ale nie oznacza to, że trzeba schodzić z boiska.

**W ostatnich latach unijne decyzje utrudniały konkurencyjność i rozwój. ETS jest tego symbolem.**

Powtórzę: o UE trzeba mówić ludziom prawdę, nawet jeśli bywa ona niewygodna. Model ETS funkcjonuje w różnych formach w wielu krajach. W przypadku państw Unii, w tym Polski, miał dostarczać pieniądze na transformację energetyczną. Czy wydaliśmy je na ten cel – to niestety pytanie retoryczne. Druga sprawa to ETS2 dotyczący transportu i mieszkalnictwa. Moment i skala takiego mechanizmu to też temat na poważną dyskusję. Trzeba też umieć powiedzieć, że owszem, pewne obciążenia – takie jak koszty energii zwykłych przedsiębiorstw – poszły za daleko. Były i są kraje, które mocno optowały za przyspieszeniem i ustawianiem norm na bardzo wysokim poziomie. Ale opór rośnie, widać dziś, że aby być konkurencyjnym, zwłaszcza w relacji do chińskiej czy amerykańskiej gospodarki, unijne pomysły muszą być skorygowane. I nie ma w tym niczego zaskakującego, bo to, że UE jest żywym organizmem, oznacza też, że czasem trzeba zrobić krok w tył, decyzje prześwietlać, zmieniać, a nie obrażać się i trzaskać drzwiami.

**Procesy, o których pan mówi, są skomplikowane, nie da się ich opowiedzieć w kampanii, w której liczyło się to, kto rozbudzi emocje w mediach społecznościowych.**

Ma pan rację. Widziałem to na słynnym przykładzie banana – pod strzechy trafiło przekonanie, że gdzieś tam w Brukseli urzędnicy i europosłowie zajmują się tym, jak mocno ma być wykrzywiony banan. Bardziej absurdalnego przykładu nie dało się podać, to jak zupełne oderwanie od rzeczywistości. A o co tak naprawdę chodziło? Nie o żadną krzywiznę, lecz o to, skąd banan będzie importowany i jakie będzie to mieć znaczenie dla poszczególnych państw. Chodziło o konkretny biznes, a nie fanaberię urzędników. Inny przykład: jako europoseł zajmujący się miastami, dostałem kiedyś skargę, że Komisja Europejska zaczyna regulować czynsze w mieszkaniach socjalnych w Holandii. Na pierwszy rzut oka – co za bezczelność, żeby urzędnicy brukselscy rozpychali się nawet w takiej sprawie. Ale przyjrzałem się całej sytuacji i okazało się, że był to wynik skargi części środowisk deweloperskich z Holandii na innych deweloperów związanej z dopłatami do budownictwa socjalnego. Nagle z tematu „KE reguluje czynsze w Amsterdamie" mieliśmy ważną decyzję, która wpływała na konkurencyjność w gospodarce. Zdaję sobie sprawę, że bez problemu znalazłby pan pewnie przykłady spraw, które od początku do końca były niepotrzebne albo bezsensowne. Jedyną receptą na to, by UE odzyskała blask i polityczną atrakcyjność, jest mówić o niej prawdę. Tak, czasem będzie ona skomplikowana, czasem niełatwa, ale – i tu wracamy do punktu wyjścia naszej rozmowy – czyż nie na tym polega też chrześcijaństwo w praktycznym wymiarze? ©℗

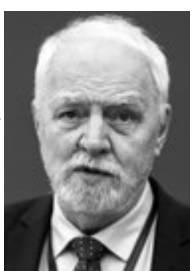

FOT. EMILIE GOMEZ/UE

*Jan*
Olbrycht
polityk, samorządowiec, doktor socjologii. Były poseł Parlamentu Europejskiego z ramienia Platformy Obywatelskiej i marszałek województwa śląskiego

AUTOPROMOCJA

eprasa.pl 1db1d53a52

# Nauka

# Niespełniony trip

**Po dekadach napiętnowania psychodeliki powróciły na orbitę zainteresowania medycyny. Ale wieszczony przez wielu przełom w leczeniu zaburzeń psychicznych nie nadszedł**

FOT. DUSAN STANKOVIC/GETTY IMAGES

*Emilia*
Świętochowska

Jeden z najpopularniejszych na świecie podcasterów, który swoimi zasięgami pomógł Donaldowi Trumpowi wygrać wybory, może sobie przypisać kolejny sukces. 18 kwietnia w uroczystej oprawie Gabinetu Owalnego Trump podpisał rozporządzenie wykonawcze mające ułatwić badania nad psychodelikami i otworzyć drogę do ich stosowania w leczeniu depresji i innych problemów psychiatrycznych.

Bezpośrednia inspiracja do poluzowania restrykcji przyszła w formie SMS-a od Joego Rogana. Król Spotify'a, znany z wiary w moc niekonwencjonalnych kuracji, przekonywał w nim prezydenta, że receptą na wyniszczający Amerykę od ponad dwóch dekad kryzys opioidowy może być ibogaina, substancja halucynogenna pozyskiwana z korzenia afrykańskiego krzewu Tabernanthe iboga. Trump odpisał mu: „Brzmi świetnie. Chcesz zezwolenia FDA [Agencji Żywności i Leków]? Zróbmy to". A Rogan na uroczystości w Białym Domu cieszył się, że „wszystko potoczyło się tak szybko".

Rozporządzenie daje zielone światło do rozpoczęcia eksperymentów klinicznych i zapewnia stanom 50 mln dol. na ich sfinansowanie. Mimo entuzjazmu Trumpa i jego zaplecza perspektywa zarejestrowania ibogainy jako leku jest jednak wciąż bardzo odległa.

## Psychodeliczny renesans

Od czasu zmierzchu kontrkultury i ogłoszenia przez Richarda Nixona wojny z narkotykami psychodeliki podlegają w Stanach Zjednoczonych restrykcjom najsurowszym z możliwych. Przepisy federalne z 1970 r. klasyfikują je w tej samej kategorii co heroinę – jako substancje psychoaktywne, które nie mają uznanego zastosowania medycznego, a przy tym wykazują duży potencjał uzależniający. Po dekadach napiętnowania nastąpiła jednak zmiana: używki, które dawniej uchodziły za symbol moralnego zepsucia hippisów i innych lewicowych „degeneratów", w ostatnich kilkunastu latach wróciły na orbitę zainteresowania medycyny. Naukowcy mówili o „psychodelicznym renesansie", wieszcząc przełom w leczeniu zaburzeń psychicznych co najmniej na miarę wprowadzenia prozacu. Wyłoniło się dwóch czołowych kandydatów na leki: psylocybina, aktywny składnik grzybów halucynogennych, oraz MDMA, szerzej znana jako ecstasy. Ta pierwsza substancja wypadała obiecująco w terapii poważnych przypadków depresji, ta druga wykazywała potencjał jako remedium na zespół stresu pourazowego (PTSD).

– Upatrywanie nadziei w psychodelikach może mieć związek z ograniczeniami współczesnej psychiatrii. Farmakoterapia koncentruje się głównie na objawach. Leki muszą być stosowane codziennie, często przez wiele miesięcy, i mogą im towarzyszyć uciążliwe działania niepożądane. Na dodatek część pacjentów nie odczuwa poprawy mimo stosowania preparatów o różnych mechanizmach działania – mówi dr Magdalena Więdłocha, psychiatra z Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego i Centrum Psychiatrii KeyClinic. – Dlatego perspektywa terapii wspomaganej psychodelikami, w której pojedyncze dawki substancji mają dawać szybkie i długotrwałe efekty, wydaje się tak atrakcyjna – dodaje ekspertka. Zaznacza przy tym, że obecnie stosowane metody leczenia depresji u większości osób prowadzą do wyraźnej poprawy.

Psychodeliczny boom szybko przyciągnął uwagę owładniętej obsesją optymalizacji ciała i umysłu Doliny Krzemowej. Zasilone jej miliardami spółki biotechnologiczne szkicowały strategie komercjalizacji „innowacyjnych" terapii: od sprayów do nosa i plasterków do ust po 45-minutowe tripy i niehalucynogenne molekuły. Jednym z pierwszych wielkich graczy, który wskoczył na tę falę, był Peter Thiel, współzałożyciel PayPala i Palantira. W portfolio jego funduszu venture capital znalazła się brytyjska firma Compass Pathways, która w 2019 r. wystartowała z największym komercyjnym badaniem klinicznym psylocybiny. Thiel jest też współudziałowcem w firmie swojego przyjaciela, niemieckiego potentata biotechu Christiana Angermayera Atai Life Sciences, która rozwija całą gamę psychodelicznych produktów.

Euforia naukowców i inwestorów szła w parze z ociepleniem społecznego nastawienia, w czym niemałą rolę odegrała wydana w 2018 r. książka Michaela Pollana „Jak zmienić swój umysł" (w Polsce ukazała się w 2021 r. nakładem Wydawnictwa Krytyki Politycznej). Autor łączy w niej burzliwe dzieje psychodelików z osobistą kroniką eksperymentów na jaźni i opowieściami podziemnych terapeutów, budując argumenty za tym, że substancje te mogą zrewolucjonizować farmakologię i przynieść nam odnowę duchową. – Myślę, że entuzjazm wobec psychodelików odzwierciedla potrzebę znalezienia czegoś więcej niż kolejnego leku, który tylko poprawia nastrój lub pobudza do aktywności: terapii z potencjałem do wywołania głębszej zmiany, która może dać dostęp do bardziej egzystencjalnego wymiaru depresji związanego z poczuciem celu i sensu życia – podkreśla dr Więdłocha.

O zmianie atmosfery świadczyły nie tylko trendy kultury startupowej, która wpisywała wyprawy do Peru na ayahuaskę i mikrodawkowanie LSD w projekt samodoskonalenia. Nieoczekiwanym – i potężnym – sojusznikiem psychodelicznych kaznodziejów w walce o liberalizację przepisów stali się weterani wojenni, wśród których wskaźnik samobójstw jest ponad 1,5 raza wyższy niż w całej populacji. W ostatnich latach amerykańscy wojskowi zmagający się z zespołem stresu pourazowego (PTSD), depresją i uzależnieniami zaczęli masowo korzystać z meksykańskich klinik oferujących terapię ibogainą lub psylocybiną, a historie ich cudownego ozdrowienia skłoniły nie-

eprasa.pl 1db1d53a52

których wpływowych konserwatystów do zmiękczenia podejścia do narkotyków. Do grona nawróconych dołączył m.in. były gubernator Teksasu Rick Perry, który w 2023 r. z powodu zaburzeń lękowych sam poddał się leczeniu ibogainą. Mimo zakazu na szczeblu federalnym kilka stanów i ponad tuzin miast zdekryminalizowało posiadanie psylocybiny. Władze Oregonu i Kolorado zezwoliły też na jej podawanie pacjentom licencjonowanych klinik.

Gdy za sterami Departamentu Zdrowia w nowej administracji Trumpa zasiadł Robert Kennedy Jr., słynący z otwartości na kontrowersyjne kuracje, wielu spodziewało się, że terapie psychodeliczne wskoczą na przyspieszoną ścieżkę. Zwłaszcza że Kennedy sam nakręcał spekulacje – w czerwcu ubiegłego roku rzucił w Kongresie, że FDA zatwierdzi je w ciągu 12 miesięcy. Dziś jest już jasne, że nie ma na to szans. Główna przeszkoda pozostaje ta sama: brak wystarczająco mocnych dowodów, że psychodeliki są skuteczne i bezpieczne.

## Ostudzony entuzjazm

Wczesne badania psylocybiny przynosiły tak imponujące rezultaty, że zaczęto przepowiadać zmierzch „klasycznych" antydepresantów (inhibitorów wychwytu zwrotnego serotoniny – SSRI). Tyle że większość z nich przeprowadzono na niewielkich grupach. Typowy przykład to eksperyment z 2016 r. pod kierunkiem naukowców z Imperial College London, w którym po zażyciu dwóch dawek objawy całkowicie zanikły u 67 proc. pacjentów. Było ich tylko 12, ale w medialnym szumie takie informacje czasem umykały.

Pojawiały się też inne zastrzeżenia: brak danych długoterminowych, stronniczość, pomijanie wyników przeczących hipotezie, przeszacowywanie efektów... Zdarzało się też, że naukowcy sami rozdmuchiwali oczekiwania, wyolbrzymiając wnioski z własnych prac. W 2021 r. „New England Journal of Medicine" opublikował rezultaty drugiej fazy badania klinicznego, w którym porównano efekty leczenia psylocybiną z działaniem tabletek SSRI. Analiza kwestionariuszy pacjentów wykazała, że praktycznie nie ma między nimi różnicy. „Na podstawie tych danych nie można wyciągnąć wniosków klinicznych" – brzmiała główna teza. Niemniej na łamach „Guardiana" Robin Carhart-Harris, współautor pracy, przedstawił ją w dużo bardziej optymistycznym świetle: „Psylocybina działała szybciej, redukując objawy depresji już dzień po podaniu pierwszej dawki. Pod koniec badania ponad 70 proc. uczestników wykazało istotną poprawę". Dalej Carhart-Harris przekonywał, że „stoimy u progu zmiany paradygmatu w zdrowiu psychicznym". Nie tylko artykuł z „Guardiana" spotkał się z falą krytyki – niektórzy naukowcy sugerowali, że samo badanie miało tak poważne luki, iż nie zasługiwało na łamy prestiżowego pisma medycznego.

Zarzucanie naukowcom metodologicznej niefrasobliwości byłoby jednak nadmiernym uproszczeniem. Główny problem polega na tym, że psychodeliki są po prostu bardzo trudne do zbadania. Za złoty standard w testowaniu skuteczności nowych terapii uznawane są randomizowane badania kontrolowane, w których ani pacjenci, ani lekarze nie wiedzą, kto otrzymał lek, a kto placebo (tzw. podwójne zaślepienie). Zabieg ten pozwala odfiltrować czynniki, które mogłyby zniekształcić wyniki. Chodzi w szczególności o wykluczenie wpływu oczekiwań (pacjenci często odczuwają realną poprawę, wierząc, że dostali obiecujący specyfik) i uprzedzeń (badacze mogą korzystniej oceniać nowe terapie). Z psychodelikami to nie działa, bo prawie każdy szybko się orientuje, co dostał – halucynacje rozwiewają wątpliwości. Nie da się więc wydestylować wpływu „czystej" farmakologii.

– O ile wcześniejsze badania psylocybiny na małych grupach wykazywały wysoką skuteczność, o tyle wydaje się, że te nowsze, większe i lepsze jakościowo studzą entuzjazm. Efekty są, ale nie tak jednoznaczne i spektakularne – tłumaczy dr Więdłocha. – Na ten moment można powiedzieć, że psylocybina prawdopodobnie działa przeciwdepresyjnie u części pacjentów, i to szybciej niż inne metody. Wciąż jest jednak wiele niewiadomych, które nie pozwalają wysnuć ostatecznych wniosków – podkreśla ekspertka.

W badaniach klinicznych psylocybina zawsze łączy się ze wsparciem psychologicznym, co każe postawić pytanie, na ile lepsze samopoczucie to zasługa substancji, a na ile sesji z psychoterapeutą. Kolejna kwestia to trwałość poprawy. Dane sugerują, że efekt psylocybiny utrzymuje się przez kilka tygodni, czasem kilka miesięcy. Po tym czasie większość pacjentów wraca do punktu wyjścia. W większych, lepszych metodologicznie badaniach odnotowano też poważne działania niepożądane, które w tych wcześniejszych się nie pojawiały, m.in. myśli samobójcze czy zachowania autoagresywne. – Choć dotyczyły one niewielkiego odsetka pacjentów, przeczą narracji, że psylocybina jest całkowicie bezpieczną alternatywą dla dotychczasowych metod leczenia – zauważa dr Więdłocha.

Trudności te dobrze odzwierciedlają dwa badania, które ukazały się w tym roku. W jednym zespół niemieckich naukowców podzielił 144 pacjentów z lekooporną depresją na dwie grupy: jednej podał psylocybinę, drugiej aktywne placebo, czyli substancję, która może wywoływać skutki uboczne (w tym przypadku był to nikotynamid, czyli forma witaminy B3). Osoby, które zażywały substancję halucynogenną, po sześciu tygodniach odczuły tylko minimalnie większą poprawę niż te, które dostały placebo – różnica była nieistotna statystycznie. Druga praca to metaanaliza, której autorzy prześwietlili 24 badania, z czego osiem dotyczyło psychodelików (nie tylko psylocybiny, lecz także ayahuaski czy LSD), a 16 antydepresantów. W każdym z nich pacjenci wiedzieli, co biorą. Różnice znowu okazały się prawie niedostrzegalne.

Pierwsze polskie badanie potencjału psylocybiny w depresji lekoopornej wciąż czeka na rozpoczęcie. W 2024 r. dr Więdłocha i jej zespół otrzymali na ten cel 16 mln zł od Agencji Badań Medycznych, ale start opóźniły bariery formalne, w tym wymóg uzyskania zgody na import, przechowywanie i podawanie substancji. – Dodatkową przeszkodą okazał się sam dostęp do psylocybiny. Psychodeliki nie funkcjonują w standardowych kanałach dystrybucji produktów leczniczych. Producentów nie ma zbyt wielu, a pozyskanie od nich substancji wymaga indywidualnych uzgodnień – wyjaśnia psychiatra. – W praktyce pojawiają się też wątpliwości dotyczące stosowania przepisów. Różne instytucje mogą interpretować te same regulacje w odmienny sposób, co pociąga za sobą konieczność kolejnych konsultacji. W efekcie proces przygotowania badania klinicznego staje się kosztowniejszy, bardziej złożony i podatny na opóźnienia niż w przypadku „typowych" produktów leczniczych.

> Główny problem polega na tym, że psychodeliki są bardzo trudne do zbadania. Prawie każdy uczestnik eksperymentu szybko się orientuje, co dostał – halucynacje rozwiewają wątpliwości. Nie da się więc wydestylować wpływu „czystej" farmakologii

## Intensywny odlot

Te same problemy metodologiczne co przy psylocybinie pojawiają się w przypadku MDMA, substancji, która wywołuje poczucie euforii, empatii i więzi z innymi ludźmi. Zanim została zakazana, wielu amerykańskich psychiatrów przepisywało ją pacjentom, aby uśmierzyć ich lęk i pomóc im się emocjonalnie odblokować. Obecnie substancja znajduje się w zaawansowanej fazie badań klinicznych pod kątem leczenia PTSD w USA, Kanadzie i Izraelu. Pierwsze starania o rejestrację utknęły jednak w impasie. Dwa lata temu FDA odmówiła zatwierdzenia wniosku firmy Lykos Therapeutics, wśród powodów wymieniając wady badania, brak danych długoterminowych i ryzyko poważnych skutków ubocznych. Ekspertów agencji zaniepokoiły m.in. przypadki znacznie podwyższonego ciśnienia krwi i tętna. Lykos twierdziła, że po MDMA ok. 71 proc. jej pacjentów przestało spełniać kryteria PTSD.

O zachwalanej przez Rogana ibogainie wiadomo najmniej, mimo że ludy zamieszkujące obecne tereny Gabonu, Kamerunu i Republiki Kongo od stulecia używają jej w obrzędach religijnych i rytuałach leczniczych. Z pewnością specyfik ten nie nadaje się do użytku rekreacyjnego. Ibogainowy trip to intensywny, często wielogodzinny odlot w sen na jawie, w którym sceny i symbole z własnego życia przeplatają się z surrealistycznymi obrazami. Zanurzenie się w ten oniryczny świat bywa tak przytłaczającym doświadczeniem, że niektórzy porównują je do wewnętrznego egzorcyzmu, który wywołuje reset umysłu.

Potencjał ibogainy w leczeniu uzależnienia od alkoholu i narkotyków lekarze dostrzegli w latach 60. XX w. Wczesne eksperymenty i indywidualne historie wyjścia z nałogu dawały powody do optymizmu, ale jak w przypadku innych psychodelików drakońskie regulacje i obawy o bezpieczeństwo na długo wypchnęły ibogainę z medycyny. W ostatniej dekadzie pojawiło się trochę badań sugerujących, że może ona łagodzić objawy odstawienia i tłumić głód narkotykowy, jak to z 2017 r., które objęło 30 pacjentów opioidowych leczących się w dwóch meksykańskich klinikach. „Pacjenci relacjonowali, że uzyskali wgląd w swoje autodestrukcyjne zachowania oraz uświadomili sobie potrzebę osiągnięcia trzeźwości. (...) Połowa najbardziej opornych na leczenie osób twierdziła, że czuła się «oczyszczona» lub «odrodzona», a 40 proc., że otrzymało drugą szansę w życiu" – piszą autorzy badania opublikowanego w 2018 r. na łamach „Neuropharmacology".

Danych jest wciąż zbyt mało, by wyciągać szersze wnioski. A już na pewno nie mają potwierdzenia zuchwałe deklaracje Rogana, który w Białym Domu oznajmił, że „po jednej dawce ibogainy 80 proc. ludzi uwalnia się od nałogu". W szczególności nie jest jasne, czy mniejszy głód narkotykowy to efekt leczenia, czy detoksu połączonego z psychoterapią i silną motywacją do wyjścia na prostą. Na wyniki może też wpływać to, jak długo badacze monitorowali stan pacjentów i ilu z nich wytrwało do końca leczenia.

Uniwersytet Stanforda sprawdza też, czy substancja mogłaby pomóc weteranom z problemami psychiatrycznymi na tle doznanego w czasie misji urazowego uszkodzenia mózgu. W 2024 r. 30 wojskowych zrekrutowanych przez Noaha Williamsa i jego zespół zameldowało się w klinice w Tijuanie, gdzie otrzymali ibogainę wraz z magnezem, by zapobiec powikłaniom kardiologicznym. Rezultaty były spektakularne: miesiąc po leczeniu u uczestników odnotowano spadek nasilenia objawów stresu pourazowego o 88 proc., depresji – o 87 proc., a zaburzeń lękowych – 81 proc. Jak jednak przyznali sami badacze, nie da się stwierdzić, na ile lepsze samopoczucie było zasługą ibogainy, a na ile opieki psychologa i nadziei na poprawę. ©℗

Więcej tekstów tego autora: skanuj kod! DGP.pl

eprasa.pl 1db1d53a52

*Mniej Więcej*

*Łukasz* Wilkowicz

## Banki. Większy podatek, niższe zyski

Krajowe banki mają za sobą najgorszy kwartał od półtora roku. Od stycznia do marca zarobiły 9,4 mld zł. Stopa zwrotu z kapitału wyniosła 11,5 proc. wobec 15,5 proc. rok wcześniej. Pogorszenie ma dwa główne źródła. Pierwsze to niższe stopy procentowe (w marcu RPP obniżyła podstawową stopę NBP do 3,75 proc.; rok wcześniej było to 5,75 proc.), choć z tym banki radzą sobie, mocniej obniżając oprocentowanie depozytów niż kredytów. Drugie – ważniejsze – to podwyższona do 30 proc. stawka CIT. Podatek dochodowy w I kw. kosztował banki 5,7 mld zł, o połowę więcej niż rok wcześniej. ©℗

Wynik netto sektora bankowego

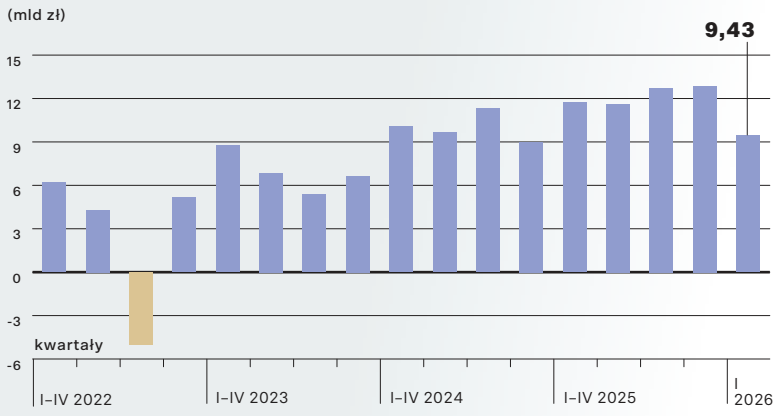


Źródło: NBP RM ©℗

## Wolne niedziele działają

W UE jest tylko jedna nacja, która w weekendy pracuje mniej niż Polacy. To Litwini. Z danych Eurostatu wynika, że w 2025 r. pracę w weekendy deklarowało tylko 3 proc. mieszkańców tego kraju określających się jako pracownicy. W Polsce jest to niewiele ponad 4 proc.; do 2009 r. było to jeszcze ponad 10 proc. Można się domyślać, że na zmniejszenie odsetka pracujących w weekendy wpływ mają obowiązkowe wolne niedziele w handlu. W mniejszym stopniu sprzyja to samozatrudnionym: pracę w weekendy deklarowało w ubiegłym roku 23 proc. prowadzących jednoosobową działalność gospodarczą w Polsce. ©℗

Odsetek zatrudnionych pracujących w weekendy

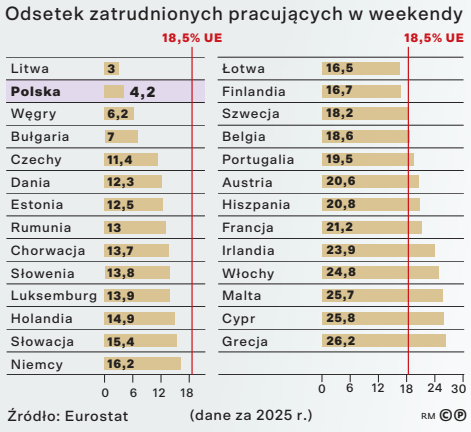


Źródło: Eurostat (dane za 2025 r.) RM ©℗

## Kupiliśmy mniej obrazów

Wartość sprzedaży dzieł sztuki i antyków w Polsce była w ub.r. najmniejsza od 2020 r. – mówią nowe dane GUS. W porównaniu z 2024 r. nastąpił spadek o niemal jedną piątą, związany głównie z mniejszymi obrotami w malarstwie. Ponad dwie trzecie transakcji (w ujęciu wartościowym) przypada na aukcje. Udział internetu od kilku lat to ok. 4 proc. (w trakcie pandemii było to nawet 10 proc.). Te informacje nie muszą wiele mówić o faktycznym zainteresowaniu Polaków sztuką. Dysponujemy też danymi np. na temat zwiedzających muzea i galerie sztuki. Te pierwsze odnotowały w ubiegłym roku ponad 46 mln wizyt (nigdy nie było więcej), drugie odwiedziło 6,4 mln osób, najwięcej od 2016 r. ©℗

Wartość sprzedaży dzieł sztuki i antyków

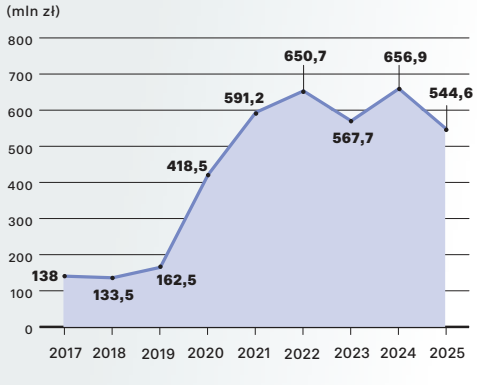


Źródło: GUS RM ©℗

# Gospodar

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

## Bankier świata odchodzi

*Piotr* Arak

To nie jest zwykła zmiana prezesa banku centralnego. Odejście Jerome'a Powella i przejęcie funkcji przez Kevina Warsha (formalnie 15 maja) domyka pewien rozdział w historii Rezerwy Federalnej. Ale ważniejsze jest to, jaki rozdział się zaczyna. Przez ostatnie lata Fed była instytucją analizowaną niemal wyłącznie przez pryzmat danych: inflacji, rynku pracy, oczekiwań inflacyjnych. Dziś to już nie wystarcza. Wchodzimy w okres, w którym równie istotne jak modele makroekonomiczne stają się pytania o niezależność banku centralnego i jego odporność na presję polityczną. To fundamentalna zmiana: przesunięcie z analizy cyklu koniunkturalnego w stronę analizy jakości instytucji.

Jeszcze niedawno Powell konsekwentnie podkreślał: „Będziemy podejmować nasze decyzje na podstawie danych" oraz, bardziej wprost, „nie wpływa na nas bieżąca polityka". Ten język nie był przypadkowy, sam Powell nosił fioletowy krawat, by uwypuklić, że nie wiąże się z żadną z partii politycznych USA, których kolory to czerwony (republikanie) i niebieski (demokraci).

Odnoszenie się do danych było świadomą próbą zakotwiczenia oczekiwań rynkowych w przekonaniu, że Fed pozostaje instytucją technokratyczną, odporną na bieżący cykl polityczny. Problem polega na tym, że równolegle rosła presja ze strony Donalda Trumpa. „Fed powinna obciąć stopy", „Fed popełnia błąd", „Powell to głupek" – mówił prezydent USA, wpisując politykę pieniężną w bieżącą debatę polityczną. W ostrzejszych wypowiedziach sugerował wręcz, że „trzeba wymienić" kierownictwo, krytykował także wydatki Fed na remont siedziby (faktycznie drogi) i próbował wykorzystać prokuraturę do ścigania samego Powella (sprawa już wycofana).

Na tym tle nominacja Warsha nie jest neutralna. Nowy przewodniczący stara się budować wizerunek technokraty i strażnika wiarygodności. W przeszłości podkreślał, że „wiarygodność banku centralnego trudno zbudować, a łatwo ją stracić", a utrata zaufania rynku może być kosztowniejsza niż krótkoterminowe spowolnienie gospodarki. Jednocześnie Warsh pozostaje pragmatykiem. Jego doświadczenie z okresu globalnego kryzysu finansowego (był wtedy w Fed) pokazuje dużą wrażliwość na stabilność rynków finansowych i ostrożność w podejmowaniu decyzji, które mogłyby zostać odebrane jako utrata kontroli nad inflacją. Najbardziej prawdopodobny scenariusz to więc gołębia komunikacja przy relatywnie zachowawczej praktyce decyzyjnej – przynajmniej w pierwszych miesiącach.

W ostatnich miesiącach Kevin Warsh dość konsekwentnie rysował swoją wizję polityki pieniężnej, która łączy ostrożność wobec szybkiego luzowania z krytyką dotychczasowego sposobu działania Fed. Z jednej strony ostrzegał, że zbyt szybkie obniżki stóp mogą powtórzyć błąd z 2020 r., kiedy, jego zdaniem, bank centralny „pozwolił inflacji się utrwalić". Z drugiej – podkreślał, że Fed powinien wrócić do bardziej klasycznego modelu działania, w którym to stopy procentowe są głównym narzędziem, a rozbudowany bilans, efekt lat luzowania ilościowego, powinien być stopniowo ograniczany.

Warsh zwracał też uwagę, że bank centralny zbyt często reaguje na jednorazowe szoki, zamiast koncentrować się na trwałych trendach inflacyjnych, co osłabia skuteczność takiej polityki. W jego ocenie mniejszy bilans poprawiłby transmisję decyzji monetarnych i ograniczył niepożądane efekty uboczne dla gospodarki. Jednocześnie podczas przesłuchań w Senacie sygnalizował potrzebę głębszej reformy Fed zarówno w zakresie ram prowadzenia polityki monetarnej, jak i komunikacji. Co istotne, w jego wypowiedziach pojawia się też bardziej długoterminowy wątek: jeśli wzrost produktywności, np. dzięki sztucznej inteligencji, okaże się trwały, może to w przyszłości uzasadniać niższy poziom stóp procentowych.

eprasa.pl 1db1d53a52

# ka

Aby dobrze zrozumieć wagę zmiany w Rezerwie Federalnej, warto spojrzeć na jej historię przez pryzmat przewodniczących. Są momenty, w których szef banku centralnego definiuje całą epokę. Paul Volcker to symbol bezkompromisowej walki z inflacją – polityki, która na początku lat 80. XX w. zdławiła presję cenową kosztem głębokiej recesji, ale odbudowała wiarygodność dolara. Alan Greenspan uosabiał epokę „Wielkiej Stabilizacji" – przekonanie, że bank centralny jest w stanie wygładzać cykle koniunkturalne i zarządzać oczekiwaniami rynku. Ben Bernanke zdefiniował czas kryzysu finansowego, wprowadzając na szeroką skalę niestandardowe narzędzia, w tym luzowanie ilościowe. Janet Yellen symbolizowała powrót do ostrożnej normalizacji i większej przewidywalności polityki pieniężnej, choć działającej w kooperacji z rządem USA (była wcześniej sekretarzem skarbu w rządzie demokratów).

Powell wpisuje się w tę sekwencję jako prezes czasów skrajnych: pandemii, zerowych stóp, a następnie najszybszego cyklu podwyżek od dekad. Jego kadencja pokazała, że Fed nadal potrafi działać zdecydowanie, ale też, jak trudno jest wyjść z epoki taniego pieniądza bez kosztów dla gospodarki i rynków. Był to okres zarządzania szokami: fiskalnymi, podażowymi, wojną handlową etc.

Warsh obejmuje urząd w zupełnie innych warunkach. To nie jest moment walki z inflacją za wszelką cenę, jak u Volckera, ani czas wiary w miękkie lądowanie, jak u Greenspana. To moment, w którym kluczowym wyzwaniem staje się utrzymanie wiarygodności instytucji w środowisku rosnącej polaryzacji politycznej i napięć geopolitycznych. Fed przechodzi z epoki zarządzania cyklem gospodarczym do epoki zarządzania ryzykiem instytucjonalnym w Ameryce.

Ostatnia decyzja amerykańskiego komitetu otwartego rynku – utrzymanie stóp w przedziale 3,50–3,75 proc. przy zachowaniu sygnału możliwego luzowania – dobrze oddaje ten moment przejściowy. Fed próbuje kupić czas w warunkach szoku energetycznego i uporczywej inflacji bazowej, która pozostaje wyraźnie powyżej celu. Z perspektywy funkcji reakcji to podejście podręcznikowe: ignorowanie pierwszej rundy szoku podażowego, o ile oczekiwania inflacyjne pozostają względnie stabilne.

Scenariusz bazowy pozostaje względnie uporządkowany: pierwsze obniżki stóp procentowych we wrześniu, pod warunkiem wyraźniejszego schłodzenia rynku pracy i spadku inflacji bazowej. Cały cykl luzowania mógłby sięgnąć 75–100 pkt baz. do połowy 2027 r. Ale to nie scenariusz bazowy jest dziś najważniejszy. Kluczowy jest rozkład ryzyka, a ten jest wyraźnie asymetryczny.

Z jednej strony mamy możliwość wcześniejszych cięć, jeśli presja polityczna okaże się silniejsza niż dane. Z drugiej – scenariusz, w którym inflacja okaże się bardziej uporczywa, a Warsh, chcąc bronić wiarygodności Fed, będzie zmuszony utrzymać restrykcyjną politykę dłużej. Paradoks polega na tym, że w takim układzie nowy prezes, postrzegany jako bardziej gołębi, może prowadzić bardziej jastrzębią politykę niż jego poprzednik.

Ciekawe, jak będzie na to reagował Donald Trump, który chce, by gospodarka szła do przodu dzięki tańszemu pieniądzowi, by giełda rosła, a koszty obsługi długu USA spadały.

Maj 2026 r. to moment, w którym do wyceny aktywów wchodzi nowy komponent: premia za ryzyko polityczne w polityce pieniężnej USA. Nie zastępuje ona klasycznych wskaźników, ale zaczyna je uzupełniać, a w okresach napięć może dominować. Dla dolara i amerykańskich obligacji oznacza to większą zmienność i mniejszą przewidywalność. Dla inwestorów – konieczność patrzenia na Fed nie tylko przez pryzmat danych, lecz także instytucji.

I być może to jest najważniejsza zmiana po Powellu. W świecie Volckera kluczowa była inflacja. W świecie Greenspana: stabilność cyklu, kosztem ryzyk długoterminowych. W świecie Bernankego: płynność systemu finansowego. W świecie Powella: zarządzanie szokami. W świecie Warsha stawką będzie coś jeszcze bardziej podstawowego: czy bank centralny pozostanie instytucją, której rynki wierzą, czy bardziej będzie służyć woli prezydenta USA. Ekonomia polityczna jako nauka nigdy nie miała lepszego okresu do analizowania instytucji i ich interakcji. Wolałbym jednak, by świat dostarczał jej mniej tematów badawczych. ©℗

Autor jest głównym ekonomistą VeloBanku, adiunktem na Wydziale Nauk Ekonomicznych UW

# Smoko-Niedźwiedź chce petrojuana

*Mehmet*

Berk Aluç

*Michał*

Kuź

Światowe waluty rezerwowe są związane z potęgą państwową. Portugalia, Holandia, Wielka Brytania czy USA – każde z tych mocarstw zdołało w swoim czasie narzucić reszcie globu własną walutę jako środek wymiany. Umożliwiły to przede wszystkim dwa czynniki: rozwój produkcji oraz siła militarna. Gdy dane państwo kontroluje kluczowe szlaki transportowe, zyskuje władzę decydowania o tym, kto może handlować. To sprawia, że jego waluta staje się dominującym środkiem wymiany, w konsekwencji – walutą rezerwową przechowywaną przez banki centralne świata.

Ale ustanowienie hegemonii zazwyczaj zbiega się z osiągnięciem szczytu potęgi mocarstwa. Historycznie każde państwo, które uczyniło swój pieniądz walutą rezerwową, przechodziło ostatecznie od gospodarki zorientowanej na produkcję do gospodarki zdominowanej przez konsumpcję. Żyło ponad stan, a gdy pojawiały się nowe potęgi, zamiast z nimi rywalizować, zmagało się z wysokimi długami i problemami ekonomicznymi. Ten proces dotknął teraz USA: pod koniec lat 40. XX w. odpowiadały za ponad 60 proc. produkcji przemysłowej świata, dziś to ledwie 17 proc.

W walce o wpływy i zasoby głównym oponentem Ameryki stał się blok, który można określić za pomocą terminu spopularyzowanego przez austriacko-bułgarską analityczkę Welinę Czakarową: „Smoko-Niedźwiedź". To pogłębiający się sojusz Chin i Rosji, dwóch mocarstw jawnie dążących do demontażu globalnego ładu zdominowanego przez dolara.

## Iran narzędziem Smoko-Niedźwiedzia

Irańskie ataki na rafinerie państw Zatoki Perskiej nie tylko mocno zakłóciły produkcję paliw na świecie. Uderzenia Teheranu sprawiają, że państwa Zatoki czują, iż Ameryka nie jest w stanie ich w pełni obronić. A jeśli nie będą czuły się chronione, to mogą zacząć dystansować się od USA – a stąd już tylko krok do sprzedaży ropy w walutach innych niż dolar (ten proces już się de facto zaczął: Arabia Saudyjska dołączyła do grupy BRICS i jest namawiana przez Chiny do rozliczania się w juanach).

Głównym celem Teheranu, który po cichu współpracuje z Pekinem w tym konflikcie, jest osłabienie zaufania do USA oraz zadanie decydującego ciosu petrodolarowi. W tym celu zablokował cieśninę Ormuz, przez którą przepływa jedna piąta światowych dostaw ropy i skroplonego gazu ziemnego. Iran i Chiny znalazły też wspólny oręż w walce o prymat juana: irańscy urzędnicy wprowadzili coś w rodzaju opłat tranzytowych za przepłynięcie przez cieśninę – statki uiszczają je właśnie w chińskiej walucie. Dziennik „Lloyd's List" potwierdził przynajmniej dwie takie transakcje (a mogło ich być znacznie więcej). Irańska ambasada w Pekinie zaś wydała oświadczenie: czas na petrojuana.

## Chiny: dyplomacja stronnicza, lecz maskowana

Aby przyspieszyć ten proces, Państwo Środka zdecydowało się na politykę zagraniczną, którą można określić jako stronniczą neutralność. Na poziomie dyplomatycznym Pekin odgrywa rolę mediatora, lecz w praktyce wspiera Iran i Rosję w sposób, który pogłębia strategiczne trudności Ameryki. Na przykład 15 kwietnia chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi rozmawiał z szefem irańskiej dyplomacji Abbasem Aragczim, wzywając do zagwarantowania swobody żeglugi w cieśninie Ormuz; ale tydzień wcześniej Pekin pomógł Rosji zawetować rezolucję Rady Bezpieczeństwa ONZ, zakładającą ograniczone użycie siły do odblokowania cieśniny.

Oficjalna chińska pomoc humanitarna dla Iranu jest śmiesznie mała: to 200 tys. dol. w marcu i 58 t leków w kwietniu. Co do technologii podwójnego zastosowania, części zamiennych czy broni, to Pekin działa w swoistej szarej strefie, podobnie zresztą jak w przypadku pomocy dla Rosji. Chodzi tu przede wszystkim o pomoc wywiadowczą, zwłaszcza zdjęcia satelitarne konieczne do celnego rażenia amerykańskich baz. Choć ze strony wywiadu amerykańskiego pojawia się też coraz więcej sugestii, że Pekin wysyła do Iranu również systemy uzbrojenia i amunicję.

## Gra USA: przeczekanie

Stany Zjednoczone ogłosiły 13 kwietnia blokadę irańskich portów w Zatoce Perskiej oraz na Morzu Omańskim – co może skutkować całkowitym wstrzymaniem kursowania tankowców do Chin. To potężny instrument nacisku na Pekin, lecz obosieczny: prowadzi do wzrostu cen energii na całym świecie i destabilizuje sytuację sojuszników Ameryki. ▷

eprasa.pl 1db1d53a52

Sekretarz stanu Marco Rubio w wywiadzie dla Fox News oznajmił, że „należy dopilnować, aby każda zawarta umowa definitywnie uniemożliwiła Iranowi dążenie do posiadania broni jądrowej". Zapytany, czy reżim ajatollahów poważnie myśli o porozumieniu, odrzekł, że są to doświadczeni negocjatorzy, którzy chcą zyskać na czasie. „Nie możemy na to pozwolić" – dodał. Stany Zjednoczone analizują ostatnią propozycję Teheranu, według której dyskusje o programie nuklearnym zostałyby odłożone na późniejszy termin.

## Paradoks chiński

Ironią losu jest to, że wsparcie Chin dla Iranu, które rozbija jedność Zachodu, już uderza w gospodarkę Państwa Środka. Gwałtowny wzrost cen ropy oraz gazu ziemnego pogłębia spowolnienie konsumpcji prywatnej i hamuje rozwój kluczowych sektorów eksportowych. Sprzedaż samochodów w Chinach spadła o 26 proc. w pierwszych 19 dniach kwietnia w porównaniu z tym samym okresem poprzedniego roku; spadek sprzedaży samochodów benzynowych był jeszcze głębszy i zbliżył się do 40 proc. Chińskie fabryki wyprodukowały o 27 proc. mniej aut w pierwszych dwóch tygodniach kwietnia w porównaniu z tym samym okresem poprzedniego roku.

W południowych Chinach tysiące pracowników protestowało po zamknięciu licznych fabryk zabawek. Produkcję wstrzymano po wzroście cen plastiku; to również jeden z efektów zakłóceń w żegludze tankowców przez cieśninę Ormuz. Według coraz liczniejszych analiz chińska gospodarka zwalnia i Kraj Środka może mieć trudności z osiągnięciem rocznego celu wzrostu PKB na poziomie co najmniej 4,5 proc.

Chiny mimo ponoszonych kosztów gospodarczych korzystają jednak na tym, że floty państw Zachodu przesunęły się ku Bliskiemu Wschodowi, zaniedbując Arktykę. Dla europejskich członków NATO przepływy gazu i ropy ze wschodniego Morza Śródziemnego mają większe znaczenie niż arktyczna dominacja. Tymczasem Szlak Północny dramatycznie skraca dystanse żeglugowe i staje się fundamentalnym czynnikiem podważającym status dolara jako waluty rezerwowej USA. A co gorsza, Ameryka zupełnie go nie kontroluje.

## Możliwe scenariusze

**1. Zamrożony konflikt.** Najbardziej prawdopodobny wariant krótkoterminowy zakłada zawarcie ograniczonej umowy między Waszyngtonem a Teheranem, która odłożyłaby dyskusję o programie nuklearnym na późniejszy termin. To scenariusz, który Iran proponował, lecz Trump oceniał go z dużą nieufnością. W tym wariancie cieśnina Ormuz zostałaby częściowo odblokowana. Mimo to strukturalne przyczyny konfliktu pozostałyby nierozwiązane. Smoko-Niedźwiedź skorzystałby z tego scenariusza, gdyż przedłużony stan zawieszenia pochłania zasoby USA i utrzymuje wysokie ceny surowców, z których Rosja czerpie zyski.

**2. Bagno na Bliskim Wschodzie.** Jeżeli negocjacje zawiodą, a amerykańska blokada morska nie zostanie zniesiona, Iran może się zdecydować na agresywniejsze działania: np. ataki na infrastrukturę naftową państw Zatoki lub uderzenia w instalacje USA w regionie. To scenariusz, w którym Teheran – choć militarnie słabszy – realizuje cel, jakim jest dalsze pogłębianie erozji zaufania państw Zatoki do amerykańskiego parasola ochronnego. Wtedy Arabia Saudyjska i inne monarchie mogą przyspieszyć swoje odejście od rozliczeń dolarowych. Kiedy zaś zaufanie do dolara osiągnie krytycznie niski poziom, Smoko-Niedźwiedź będzie gotowy do uruchomienia waluty BRICS. Z perspektywy Waszyngtonu to scenariusz najgroźniejszy, gdyż uderza jednocześnie zarówno w militarną reputację USA, jak i w architekturę finansową petrodolara.

**3. Xi–Trump i wielka umowa.** Na przyszły tydzień (14–15 maja) jest planowane spotkanie w Pekinie lidera ChRL Xi Jinpinga z Donaldem Trumpem. Chiny, wszystko na to wskazuje, chcą wyciszenia konfliktu przed tym szczytem. To dlatego wezwały Iran do „przywrócenia normalnego ruchu" w cieśninie, sygnalizując gotowość Pekinu do nacisku na Teheran w zamian za ustępstwa ze strony Waszyngtonu – być może w kwestii ceł lub Tajwanu. Ten scenariusz jest korzystny przede wszystkim dla Chin, które wychodzą z konfliktu wzmocnione.

**4. Fragmentacja systemu finansowego.** Jeżeli państwa Zatoki faktycznie zaczną sprzedawać ropę w juanach, petrodolar traci swój fundament. Zresztą Chiny już kupują ponad 80 proc. irańskiego eksportu ropy, płacąc w juanach. Smok nie zasypia przy tym gruszek w popiele. Wywiera coraz większą presję na sojuszników USA na Pacyfiku, podczas gdy hegemon jest rozproszony konfliktem na Bliskim Wschodzie. Rosyjski Niedźwiedź zaś – długo duszony sankcjami – łapie drugi oddech dzięki rosnącym cenom surowców.

## Niebezpieczne zwycięstwo

Strategia Smoko-Niedźwiedzia w Iranie nie jest prostą rozgrywką militarną. To złożona operacja podważania zaufania: do dolara, amerykańskiego parasola bezpieczeństwa, zachodniego porządku instytucjonalnego. Iran jest w tej grze świadomym narzędziem, a nie ofiarą. Jego cel jest precyzyjny – nie dąży do wygrania wojny z USA, lecz chce sprawić, by zwycięstwo USA było pyrrusowe.

Smoko-Niedźwiedź potrzebuje wystarczająco słabej Ameryki, by poszerzyć swoje wpływy, lecz jednocześnie wystarczająco silnej, by globalny system handlowy i finansowy nie runął gwałtownie. Mamy do czynienia z głębokim paradoksem. Mocarstwa toczą grę, w której nikt nie chce ostatecznego zwycięstwa – bo ostateczne zwycięstwo mogłoby być dla wszystkich katastrofą. ©℗

Mehmet Berk Aluç – absolwent stosunków międzynarodowych na Uczelni Łazarskiego, studiuje na kierunku psychologia w zarządzaniu kapitałem ludzkim na Uniwersytecie VIZJA

Michał Kuź – politolog i analityk, pracuje na Uczelni Łazarskiego

# Historia

# Western po polsku

**Maj 1945 r. przyniósł Europie koniec wyniszczającego konfliktu zbrojnego. Jego następstwa, takie jak masowe przesiedlenia, dopiero się jednak rozkręcały**

Repatrianci zza Buga czekają na pociąg, który ma ich zawieźć na Ziemie Odzyskane. Warszawa, 1945 r.

eprasa.pl 1db1d53a52

*Sebastian*

# Pawlina

Najpierw przyszedł list. Już samo jego pojawienie się było wydarzeniem – w ostatnim miesiącu wojny dotarcie przesyłki do właściwych rąk należało do kategorii cudów. Nadawca musiał mieć prawdopodobny adres do wysyłki, wiadomość w nienaruszonym stanie musiała pokonać kilkaset kilometrów w warunkach zagrożenia napadami na drogach, niedoborów paliwa, uszkodzonych torów. W końcu adresat aż do momentu otrzymania korespondencji nie mógł zmienić miejsca zamieszkania. A zmieniano je z różnych powodów: ktoś należał do konspiracji i się ukrywał, ktoś odnalazł rodzinę i przeniósł się do niej, a jeszcze inni wędrowali za zarobkiem pozwalającym na przeżycie. Jeśli mimo tych przeszkód list docierał tam, gdzie powinien, można było mówić o szczęściu.

Doświadczyła go mieszkająca w podwarszawskim Milanówku rodzina Ścibor-Rylskich. Kilka dni po zakończeniu wojny otrzymała przesyłkę od kuzyna. Niewiele wcześniej został on wysłany do Środy Wielkopolskiej, gdzie jako wysoki urzędnik w Ministerstwie Rolnictwa dostał sześciopokojowe mieszkanie. Zgodnie z ówczesnymi przepisami należało mu kogoś dokwaterować. W zrujnowanym kraju nie było innej metody na znalezienie miejsc do życia dla tysięcy ludzi. Nie chcąc jednak mieszkać z obcymi, mężczyzna postanowił ściągnąć kogoś bliskiego. Maria oraz dwójka jej dorosłych dzieci, Danuta i Zbigniew, bez zastanowienia zdecydowali się dołączyć do krewnego. Ostatnie miesiące spędzili w niedużym, wynajmowanym pokoju z jednym rozpadającym się łóżkiem. Ich sytuację komplikował brak stałego źródła dochodów. Matka chorowała na gruźlicę, a rodzeństwo z trudnością zdobywało środki na przeżycie. W tej sytuacji przeprowadzka stawała się nie tyle lepszą opcją, ile szansą na powrót do w miarę normalnego życia. Spakowali więc dobytek i ruszyli do pociągu.

Pojechali odkrytą platformą kolejową, bo w całym pociągu nie było ani jednego wagonu zamkniętego. „Daneczka trochę tylko podepchana przez brata, wskoczyła jak sarenka za mną. Tego dnia było b. zimno i wietrzno, więc nie chcąc się zaziębić, zdjęłam płaszcz, nałożyłam kożuch, których mi synuś kupił, gdy tak ciężko chorowałam, usiadłam na jednym z worków i tak skulona całą prawie podróż odbyłam, wstając tylko od czasu do czasu, aby rozprostować nogi, bo wkrótce tyle ludzi wpakowało się do naszej platformy, iż trudno się było poruszać" – wspominała po latach Maria. Na podobne wyprawy, a nawet dalej niż do Środy Wielkopolskiej, w tym samym czasie ruszyły tysiące.

## Rysowanie granic

Zanim pociągami, ciężarówkami i wozami ludzie udali się po nowe życie, ktoś musiał wyrysować linie, między którymi mieli je prowadzić. Od wieków stanowiło to jeden z kluczowych punktów polityki międzynarodowej. Niezależnie od oficjalnych deklaracji monarchów, prezydentów, premierów, kanclerzy i generałów dobro ludzi mieszkających na terenach poddawanych zmianom nie miało znaczenia. Ich losy nie ważyły nic w starciu z geopolityką, wizjami państw narodowych, dostępem do surowców i z prywatnymi potrzebami tych, którzy niczym w zakładzie krawieckim rozprawali, zszywali i doszywali do siebie krainy, miasta i wsie, dokonując nieustannych przeróbek i poprawek.

Nie inaczej się działo, gdy dogasała II wojna światowa. Śmierć milionów ludzi, wojenne deportacje i kolonizacje stworzyły podstawę do rozrysowania mapy kontynentu europejskiego na nowo. Przyszłość polskich granic rozegrała się na dwóch konferencjach. Najpierw w Jałcie, w lutym 1945 r., podjęto decyzję o odebraniu Rzeczypospolitej na rzecz ZSRS ziem zbiorczo określanych nazwą Kresów Wschodnich oraz przekazaniu Polakom jako rekompensaty ziem na zachodzie. Opór Winstona Churchilla przed takim rozwiązaniem sprawił, że sprawę odłożono na kolejną turę rozmów. Do tej doszło kilka miesięcy później, na przełomie lipca i sierpnia, w pałacu Cecilienhof w Poczdamie, gdzie potwierdzono przesunięcie granicy polsko-niemieckiej na linię Nysy i Odry.

W ten sposób Polska otrzymała część Wielkopolski, Śląska, Warmii i Mazur, a także Pomorze Zachodnie. Zbiorczo nazywano je Ziemiami Postulowanymi, Powracającymi czy też Zachodnimi i Północnymi, ale największą popularność zyskały jako Ziemie Odzyskane. Termin ten, ukuty przez komunistyczne władze polskie, miał w jasny sposób sygnalizować, że tereny te wcześniej już należały do Polaków i przyłączenie ich nie jest gwałtem na narodzie niemieckim, ale uzasadnionym odebraniem tego, co historycznie stanowiło całość z Polską.

W porównaniu z utraconymi terenami na wschodzie były to obszary dobrze rozwinięte gospodarczo. Dla kraju, który musiał podnieść się po wojennej pożodze, zamiana ta, pomijając kwestie utraty wielu miejsc ściśle związanych z polską historią, a przede wszystkim zamieszkanych przez tysiące Polaków, była szansą na szybszą odbudowę. Ale żeby tereny te mogły odegrać swoją rolę, najpierw trzeba było je zasiedlić.

FOT. SIERADZAN/CAF/PAP

## Pociągiem w nieznane

Trudno o bardziej charakterystyczny gatunek filmowy niż western. Te zmitologizowane opowieści o kolonizacji zachodnich ziem USA, znanych jako Dziki Zachód, stworzyły spójną narrację o przebiegu całego procesu historycznego. I choć niemałą rolę odgrywały w nich urzekające ogromem i surowością krajobrazy, sukces zawdzięczały przede wszystkim wyrazistym postaciom, z jasnym podziałem na dobrych i złych, oraz sprawnie poprowadzonej akcji. Stworzone za oceanem schematy nieoczekiwanie pomogły wprowadzić do polskiego kina motyw osiedlania się na Ziemiach Odzyskanych.

Częsty w amerykańskim kinie wątek wędrówki osadników, którzy na wozach wieźli cały swój dobytek, w polskich warunkach znalazł odzwierciedlenie w podróży pociągiem, którym ludzie również przewozili wszystko, co mieli. Obrazki te znajdujemy zarówno w humorystycznych pierwszych scenach „Samych swoich" Sylwestra Chęcińskiego z 1967 r., jak i na początku poważniejszego „Nikt nie woła" nakręconego w 1960 r. przez Kazimierza Kutza. Oba filmy łączą sceny przedstawiające ludzi, zwierzęta i wszelaki dobytek stłoczonych w wagonach, a jeśli ▷

eprasa.pl 1db1d53a52

ktoś miał mniej szczęścia – na dachach wagonów.

W tych prawdziwych podróżach jedno z głównych zagrożeń stanowił głód. W czasie trwającej niekiedy tygodniami jazdy nie trafiało się przesadnie wiele możliwości uzupełnienia zapasów. Bo i skąd je było brać na ziemiach przeoranych przez front? Michał Sobków, którego wraz z rodziną przesiedlono na zachód aż zza Bugu, relacjonował, że ludzie nie byli przygotowani na tak długi czas w drodze. „My wprawdzie mieliśmy jeszcze trochę suchego makaronu, ale nie sposób było cokolwiek jeść na oczach ludzi, którzy już niczego nie mieli i patrzyli na nas wilczym wzrokiem. A dzielić się nie było czym. Coraz częściej spotykaliśmy zbite z desek krzyże z napisem, że w tym miejscu jest pochowany taki a taki repatriant. Z powodu braku karmy i wody masowo zaczęło padać bydło. Nasza klacz poroniła" – pisał.

Joanna Konopińska, studentka, która wraz z rodziną jechała do Wrocławia, zapamiętała, że już samo czekanie na pociąg odbywało się w dramatycznych warunkach. Na dworcu mieszali się żołnierze polscy i sowieccy, repatrianci przesiedlani przymusowo, ci, którzy wędrowali z własnej woli, byli więźniowie z obozów koncentracyjnych, często jeszcze w pasiakach, Niemcy. Plątały się języki i kierunki jazdy. Stale brakowało wody, w budynkach nie działało światło, co zachęcało do kradzieży. Wszędzie było brudno. Moment przyjazdu pociągu był niewiadomą. Nie obowiązywały żadne rozkłady jazdy, wobec czego należało uważać, żeby nie przegapić chwili pojawienia się składu. Gdy ten wtoczył się już na peron, rzucał się do niego tłum. Ludzie przepychali się, przewracali. Zdarzało się, że ktoś wpadał na tory i trzeba go było ratować.

Same składy były mieszanką różnych wagonów. Obok towarowych, kojarzących się z wywózkami do obozów i deportacjami, stały węglarki z otwartymi platformami oraz osobowe, w których nierzadko brakowało okien albo... podłogi. „Wypróbowanym w czasie wojny sposobem ojciec znalazł jakiegoś kolejarza, a ten za butelkę wódki ulokował nas w przedziale pozbawionym podłogi. Kiedy się siedziało na ławce, nogi zwisały w pustą przestrzeń, a pod stopami widać było szyny i podkłady kolejowe. Na ławkach zrobiło się tak ciasno, że siadano sobie na kolanach" – wspominała Konopińska. Sama podróż była przerywana postojami spowodowanymi przez zarwany most, konieczność przepuszczania składów wojskowych czy brak węgla do lokomotywy.

## Życie w chaosie

Po pokonaniu trudności docierano na miejsce – nowe, nieznane, jeszcze niedawno zamieszkałe przez Niemców. To poczucie obcości, nienależenia do tych miejsc potęgowało strach przed kolejnym dniem. Spokój ludziom zapewniają organizacja, porządek, znane schematy funkcjonowania – wszystko to, czego na Ziemiach Odzyskanych nie było. W czerwcu 1945 r. starostwo powiatowe w Skwierzynie, położonym 30 km na południowy wschód od Gorzowa Wielkopolskiego, informowało, że „sytuacja nowo przyłączonych powiatów do Polski przedstawia się tragicznie. Mówi się wiele o repatriacji Polaków, lecz brak organizacji powoduje ogromne niezadowolenie. Całe masy ludzi błąkają się po terenie i nikt się nimi nie interesuje".

Autorzy tego dokumentu zwracali uwagę, że na wsiach polscy koloniści nie mieli koni i bydła, co wobec niewielkiej ciągle liczby nowych mieszkańców uniemożliwiało pracę na polach. Maszyny, którymi wcześniej posługiwali się Niemcy, teraz wywożono masowo do ZSRS. Wszędzie panowały głód i ubóstwo. Handel zaś wrócił do korzeni. Zamiast płacić za nieliczne dostępne towary pieniędzmi, ludzie wymieniali się tym, co posiadali. Żeby mieć co jeść, polowano na zwierzynę leśną, którą wypędzano na pola, podpalając lasy. Chaosu dopełniali Niemcy, którzy mieli się odgrażać, „że gdy tylko Armia Czerwona odejdzie, to oni rozprawią się z Polakami".

Również w miastach początki były trudne. Często trafiali do nich ludzie, którzy całe swoje wcześniejsze życie spędzili na wsi i nie potrafili się odnaleźć w nowej rzeczywistości, więc szukali możliwości przeniesienia się na wieś.

Niezależnie od tego, jak kto się czuł w nowych warunkach, wszyscy mierzyli się z takim samym głodem. Konopińska zapamiętała, że gdy razem z rodziną szła przez wrocławskie ulice, jedynym źródłem pożywienia, na które się natknęli, były drzewka owocowe. Weszli więc do jednego z ogrodów i zaczęli jeść czereśnie. „Najbardziej dokuczało nam pragnienie, bo dzień był upalny i duszny, a w ulicznych kranach brakowało wody" – pisała. Poza tym miasta ciągle pełne były ruin, cuchnęły spalenizną i rozkładającymi się ciałami, których wiele leżało pod gruzami zawalonych domów.

Niemały problem w tej rzeczywistości stanowił szaber. Pojedyncze osoby i całe grupy, jak w „Prawie i pięści" Jerzego Hoffmana i Edwarda Skórzyńskiego z 1964 r., wywoziły ze świeżo przyłączonych zachodnich ziem Polski wszystko, co tylko dało się zapakować na wóz czy ciężarówkę. Wobec powszechnej obawy, że Niemcy mogą wrócić na te tereny, chciano zabrać jak najwięcej, aby zostawić im jak najmniej. Wojenna moralność i utrata całego dobytku jedynie potęgowały skalę procederu.

## Dziennikarski rajd

Zdawano sobie sprawę z tego, że taki obraz Ziem Odzyskanych, ziem opanowanych przez chaos, przemoc i brak podstaw codziennego funkcjonowania, nie będzie zachęcał ludzi do przyjeżdżania tam. A to w dłuższej perspektywie mogło obrócić się przeciwko Polsce. Bo gdyby Polacy nie osiedlili się masowo na ziemiach odebranych Niemcom, to można było się obawiać, że za jakiś czas wielcy tego świata oddadzą te tereny poprzednim właścicielom. To z kolei uderzyłoby w nowe, komunistyczne władze w Warszawie.

Należało więc działać. Jednym z najbardziej oczywistych rozwiązań była szeroko zakrojona kampania prasowa mająca przekonać ludzi, że Ziemie Odzyskane rozwijają się prawidłowo, a wszelkie niedogodności zostaną niebawem zlikwidowane. W czerwcu 1945 r. Leopold Marschak, dziennikarz mieszkający i pracujący w Łodzi, dostał od wojewody polecenie zmontowania zespołu, który miał pojechać na zachód kraju, aby zebrać materiały do serii artykułów zachęcających do osiedlania się na zachodzie. Po latach, wspominając tamtą wyprawę, opowiadał on, jak to w Pile nocował u pewnego sierżanta, uczestnika walk o Kołobrzeg, który sprowadził rodzinę spod Krakowa i pełen zapału szykował się do pracy w swojej nowej małej ojczyźnie. Mężczyzna miał powiedzieć Marschakowi: „Zobaczy pan, jak tu będzie wyglądało za rok w naszej Pile (...). Przyjedzie tu więcej naszych z wojska, zbudujemy miasto od nowa".

Łatwo wyczuwalny w tych słowach entuzjazm nie był niczym niespotykanym. Poczucie sensu, który wiele osób odnajdowało w odbudowie kraju, a de facto w budowie nowej Polski, stanowiło stały element doświadczenia setek ludzi w tamtych dniach. Trudno stwierdzić, na ile zjawisko to było mocniejsze czy słabsze na Ziemiach Odzyskanych. Z jednej strony kolonizatorzy nie mieli z nimi związków emocjonalnych, z drugiej osiedlanie się tam było całkowicie nowym otwarciem, które po latach wojennej gehenny było dla wielu istotne. Nie każdy chciał bowiem wracać w rodzinne strony, w których stracił bliskich, dom, zdrowie.

W Koszalinie od wojewody dziennikarze usłyszeli, że szybkie zasiedlenie tamtych ziem jest kluczowe. „Siedzimy tu wciąż jeszcze otoczeni przez wroga, nie wypuszczając broni z rąk. Przyślijcie nam posiłki do pracy z kraju, zapropagujcie Koszalin i całe nasze Pomorze Zachodnie w prasie i w radiu, abyśmy mogli nareszcie zająć się energicznie ewakuacją stąd prohitlerowskiego elementu i oczyścić to piękne miasto z jego germańskich naleciałości". Prosił też, aby w przekazach podkreślano, że Koszalin czeka jedynie na ludzi pewnych, chcących pracować. Mieli bowiem już do czynienia z takimi, którzy przyjeżdżali, obiecywali pomoc, po czym uciekali – wywożąc meble i maszyny.

## Edukacja i narracja

Efektem tej i podobnych eskapad stawały się prasowe artykuły zachwalające wysiłek kolonizatorów i podkreślające wagę zadania dla przyszłości kraju. Wykorzystując żywe jeszcze wspomnienia niemieckich zbrodni, zwracano uwagę na konieczność jak najszybszego wysiedlenia Niemców. „Życie Warszawy" w numerze z 4 czerwca 1945 r. pisało: „Nie wróci już na polską ziemię żaden Niemiec, który już ją opuścił, a ci, którzy po niej jeszcze stąpają, muszą opuścić ją co do jednego. Wykadzimy dom swój po tej zakale zdradzieckiej i nikczemnej, zetrzemy po niej ślady i wejścia będziemy strzec pilnie, aby żyć w spokoju i w zgodzie ze wszystkimi". Publikując takie teksty, doskonale rozumiano, że emocje, szczególnie te negatywne, są potężnym katalizatorem zmian.

Kilka dni wcześniej, 30 maja, również w „Życiu Warszawy" ukazał się artykuł zatytułowany „Nie idziemy na lekki chleb", którego autor nie tylko odwoływał się do niedawnych wspomnień wojennych, lecz także nakładał na swoich rodaków poczucie obowiązku wobec kolejnych pokoleń. Przekonywał, że bez zdecydowanych i natychmiastowych działań „krzyżactwo" zjawi się na Ziemiach Odzyskanych niczym „złowroga szarańcza". Żeby przyspieszyć symboliczne przejmowanie terenów poniemieckich, usuwano niemieckie nazewnictwo ulic, urzędów i zastępowano je polskimi napisami.

Celem ataków prasy stali się również szabrownicy. Dziennikarze przekonywali, że ich bandycka działalność zostanie ukrócona. Niekiedy robiono to w sposób humorystyczny. Starosta kłodzki na łamach gazet zapraszał do osiedlania się w Kłodzku i okolicach, a ci, którzy „pragnęliby przyjechać (...) jedynie z wizytą szabrowniczą, znajdą zatrudnienie w specjalnym obozie wychowawczym, gdzie kurs antyszabrowniczy trwa dni trzydzieści, a plan zajęć obejmuje czas od czwartej rano do ósmej wieczór" – notował Jan Edmund Osmańczyk, publicysta i działacz społeczny zaangażowany w akcję kolonizacyjną na Ziemiach Odzyskanych.

Ale nie tylko propagandą nastawioną na zwarcie z Niemcami czy gróźb wobec rodzimego elementu przestępczego tworzono obraz tych obszarów jako miejsca, w którym można i należy się osiedlać. Równie dużo uwagi poświęcono na bardziej subtelne metody docierania do obywateli, takie jak np. książki historyczne opowiadające o losach miast i miasteczek na zachodzie. Przekonywano w nich o ich silnych związkach z Polską i polskością. Jednym z autorów takich opracowań był Władysław Jan Grabski, pisarz i publicysta znany przed wojną ze swojego związania ze środowiskiem narodowców, a jednocześnie badacz dziejów zachodniej słowiańszczyzny. Na prośbę Władysława Ochaba, pełnomocnika rządu dla Ziem Odzyskanych, napisał dwie książki. Już w 1945 r. ukazała się pierwsza – „Polska nad Odrą, Nysą i Pasłęką". Dwa lata później wyszła druga – „200 miast wraca do Polski". W przygotowaniu obu prac Grabskiemu pomagał jego teść Stanisław Wojciechowski, prezydent Polski w latach 1922–1926. Ukoronowaniem tych działań stała się Wystawa Ziem Odzyskanych pokazywana we Wrocławiu od 21 lipca do 31 października 1948 r.

Zabiegi te powoli przynosiły efekty. Osmańczyk twierdził później, że spełniała się przepowiednia zawarta w „Rocie" Marii Konopnickiej, która pisała w trzeciej zwrotce: „Odzyska ziemię dziadów wnuk./ Tak nam dopomóż Bóg!". I tylko zamiast Boga za powodzenie tej kolonizacji po polsku odpowiadały inżynieria społeczna oraz zwyczajna ludzka potrzeba posiadania swojego miejsca na ziemi. ©℗

Więcej tekstów tego autora
Skanuj kod!
DGP.pl

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. JONATHAN BLAIR/CORBIS VIA GETTY IMAGES

Stacja paliw Sasol oferująca benzynę syntetyczną. Secunda, 1 września 1979 r.

# Paliwo apartheidu

**Władza potomków Burów w RPA opierała się na dwóch fundamentach: segregacji rasowej i wytwórniach paliw syntetycznych. Acz uniezależnienie się od ropy było ważniejsze**

*Andrzej*

## Krajewski

Od momentu zablokowania cieśniny Ormuz kraje nieposiadające złóż ropy boleśnie się przekonują, jak ważne jest zabezpieczenie sobie dostępu do nich. Ale nie zawsze jest to możliwe. Wówczas można skorzystać ze starych technologii umożliwiających przetwarzanie węgla w paliwa płynne. Opracowali je Niemcy, szykując się do podboju Europy, a udoskonalili Amerykanie. Jednak mistrzem w ich zastosowaniu na masową skalę okazała się Republika Południowej Afryki.

### Państwo dwóch generałów

Burowie na początku XX w. przegrali z Wielką Brytanią, ale pamięć o ich zaciekłym oporze sprawiała, że Wielka Brytania łatwo godziła się na poszerzanie autonomii Związku Południowej Afryki, który w 1910 r. powołano w miejsce burskich republik. Ustępstwa następowały szybko, bo ZPA dorobił się wybitnego przywódcy. „Taką osobistością był niewątpliwie Jan Smuts, były generał wojsk burskich walczących przeciwko Wielkiej Brytanii, a następnie zwolennik pojednania z Brytyjczykami i wielokrotny premier ZPA" – opisuje w opracowaniu „Mocarstwowość w polityce zagranicznej Republiki Południowej Afryki" Andrzej Gąsowski.

Podczas I wojny światowej Smuts sformował armię i odbił z niemieckich rąk Afrykę Południowo-Zachodnią. Doceniając jego zdolności, premier Wielkiej Brytanii David Lloyd George zaprosił go w 1917 r. do gabinetu wojennego; jako premier Związku Południowej Afryki Jan Smuts podpisał nawet traktat wersalski. Po czym energicznie zabrał się do poszerzania autonomii ZPA. Jego działania kontynuował lider Partii Narodowej, także burski generał James Barry Munnik Hertzog, który po zwycięskich wyborach w 1924 r. przejął fotel premiera. Obaj konkurowali, lecz wobec Londynu zachowywali się solidarnie, co wkrótce zaprocentowało. „Wyrazem tego było przyznanie (ZPA – red.) statusu niezależnego państwa złączonego z Wielką Brytanią osobą władcy i współpracą w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów w 1926 r." – podkreśla Gąsowski.

Wkrótce Londyn, chcąc zdjąć z siebie ciężar kontrolowania imperium, zdecydował się na radykalne reformy. W 1931 r. parlament przyjął statut westminsterski – na jego mocy dominia zyskiwały pełną suwerenność w prowadzeniu polityki wewnętrznej, a z metropolią wiązały je już tylko osoba monarchy, reprezentujący go gubernator oraz solidarność w prowadzonej polityce zagranicznej w ramach Brytyjskiej Wspólnoty Narodów.

Statut westminsterski wprawdzie dawał Burom to, co już i tak zdobyli, lecz mimo to miał znaczenie, bo odpowiednio użyty, otwierał drzwi do pełnej suwerenności. Wkrótce więc generałowie Smuts i Hertzog osiągnęli to, czego nie udało się im wywalczyć za młodu podczas II wojny burskiej. Stworzyli na południu Afryki de facto niepodległe państwo, i to bez jednego wystrzału. Po czym zaczęli zabezpieczać jego suwerenność. Wydawało się to nie takie trudne. Posiadało ono bowiem jedne z największych na świecie złóż złota, wanadu, manganu, diamentów. Największe udokumentowane złoża platyny i ok. 80 proc. afrykańskich zasobów węgla kamiennego. Jednak brakowało ZPA jednej rzeczy – ropy naftowej.

### Skarb III Rzeszy

„Zainteresowanie RPA technologią konwersji węgla (...) zaczęło się, gdy w 1927 r. rząd opublikował białą księgę, wzywającą do utworzenia rodzimego przemysłu paliw syntetycznych opartego na węglu" – informuje w opracowaniu „The Development of Synthetic Fuels in South Africa" Peter Hilsenrath.

Stojący na czele rządu Hertzog uchodził za germanofila. Nie bez przyczyny, bo od lat 20. starał się rozluźniać związki ekonomiczne ZPA z Wielką Brytanią, pogłębiając współpracę z Niemcami. Jednak to brytyjski koncern naftowy Anglo-Persian Oil oraz brytyjsko-holenderski Royal Dutch Shell zapewniały państwu Burów dostawy paliw. Zaś bez nich nowoczesna gospodarka nie potrafiła już funkcjonować.

Ale niemiecki koncern chemiczny I.G. Farben stał się w latach 20. posiadaczem patentów pozwalających wytwarzać paliwa płynne z węgla. Pierwszą technologię opracował już w 1910 r. prof. Friedrich Bergius. Jego metoda sprowadzała się do rozpuszczania węgla w rozgrzanym oleju i następnie nasycania roztworu wodorem. Piętnaście lat później Franz Fischer i Hans Tropsch przeprowadzili reakcję tlenku węgla (czadu) z wodorem, inicjując ją za pomocą tlenów metali jako katalizatorów. Tymi nowatorskimi dokonaniami zainteresował się koncern I.G. Farben. Odkupił on od wynalazców prawa patentowe i w 1927 r. pod Mannheimem powstała pierwsza w świecie instalacja do produkcji benzyny syntetycznej na skalę przemysłową.

Nią właśnie zainteresował się premier Hertzog. Jego zainteresowanie wzrosło, gdy władzę w Berlinie przejął Adolf Hitler i nakazał przestawienie gospodarki Niemiec na tryb przygotowań do wojny. Jako że oczywistością było, iż po wybuchu konfliktu Wielka Brytania odetnie III Rzeszę od dostaw ropy, rozpoczęto budowę wytwórni paliw syntetycznych z myślą o zapewnieniu niemieckiej gospodarce i siłom zbrojnym samowystarczalności.

Wówczas Hertzog zdecydował się działać. „Pierwszym krokiem (...) było mianowanie inżyniera Oscara Feldmana osobą upoważnioną do zbadania niemieckich rozwiązań" – pisze Hilsenrath. A w 1935 r. południowoafrykańska firma Anglovaal rozpoczęła starania o pozyskanie praw do technologii Fischera–Tropscha, uznając ją za bardziej obiecującą od metody Bergiusa. Wynikało to z wniosków, jakie zaprezentował rządowi Feldman. „Metoda Bergiusa, intensywnie rozwijana w Niemczech podczas I wojny, była zorientowana na produkcję paliwa lotniczego. Tymczasem dla RPA priorytetem było bezpieczeństwo narodowe oparte na produkcji paliw silnikowych (benzyny i diesla) do użytku cywilnego i transportowego, co skuteczniej zapewniał proces Fischera–Tropscha" – wyjaśnia Hilsenrath.

Udostępnienie praw patentowych i przekazanie dokumentacji nastąpiło w lipcu 1936 r. Jednak niedługo potem wielbiącemu Hitlera premierowi Hertzogowi grunt zaczął usuwać się spod nóg. Jako zwolennik oderwania Południowej Afryki od Imperium Brytyjskiego deklarował, że w razie wojny w Europie ZPA zachowa neutralność. Tymczasem opowiadający się za zachowaniem wierności Londynowi Smuts zyskiwał zwolenników. Przesilenie w parlamencie nadeszło 4 września 1939 r., dzień po tym, jak Wielka Brytania i Francja wypowiedziały wojnę III Rzeszy. Rząd Hertzoga utracił większość i nowym premierem został Smuts. Wkrótce też został zaproszony przez Winstona Churchilla do brytyjskiej Rady Wojennej i nagrodzony tytułem marszałka polnego.

Znów, jak podczas I wojny światowej, polityk zadbał o to, by Związek Południowej Afryki znalazł się w obozie zwycięzców. Dzięki temu Burowie nie musieli się martwić o dostęp do ropy. A co więcej, w maju 1945 r. uczestniczyli w powoływaniu do życia Organizacji Narodów Zjednoczonych. Jan Smuts był jedynym przywódcą, który brał udział w kształtowaniu międzynarodowego porządku po obu wojnach światowych. Ale to nie on, lecz zmarły w 1942 r. miłośnik nazizmu J.B.M. Hertzog określił przyszłe losy Południowej Afryki. Jego polityczni spadkobiercy w 1948 r. wygrali wybory i władzy nie oddali do 1994 r.

### Rasizm doskonały

„Zwycięska partia HNP (Ponownie Zjednoczona Partia Narodowa), która wkrótce przekształciła się w NP ▷

eprasa.pl 1db1d53a52

(Partię Narodową) rozpoczęła realizację programu apartheidu, czyli oddzielnego rozwoju białej i kolorowej ludności" – opisuje Andrzej Gąsowski. Burów napędzał strach przed tym, że w ich wymarzonej republice staną się mało znaczącą mniejszością i będą musieli się dzielić władzą, a być może nawet ją stracą.

Rasistowskie przepisy, ograniczające prawa ludności kolorowej, zaczęto wprowadzać jeszcze przed II wojną światową. W 1927 r. Immorality Act zabronił pozamałżeńskich stosunków płciowych pomiędzy ludźmi rasy białej i czarnej. Jednak Partia Narodowa pod przywództwem Daniela F. Malana poszła o wiele dalej, budując system, w którym Burom przypadła rola uprzywilejowanej elity, a reszta ludności kraju została im podporządkowana. Proces ten zapoczątkował w 1949 r. Prohibition of Mixed Marriages Act, zabraniający „małżeństw mieszanych". Wkrótce kolorowi nie mogli utrzymywać żadnych intymnych związków z białymi. Po czym zablokowano im też możliwość społecznego awansu. „Od lat 50. XX wieku, wydano jeszcze kilkadziesiąt praw, które regulowały życie czarnoskórej ludności afrykańskiej. Decydowano o ich edukacji czy miejscu, w którym mogą mieszkać" – pisze w opracowaniu „Sytuacja polityczno-gospodarcza w Republice Południowej Afryki i jej wpływ na imigrację" Klaudia Łodejska. W końcu zabroniono kolorowym strajków i sprzeciwiania się pracodawcom.

Tak ukształtowano strukturę ultrarasistowskiego społeczeństwa. „Na najwyższym poziomie znajdowała się ludność biała, która była podzielona pod względem narodowościowym. Stanowiła ona jedynie 17,5 proc. ogółu mieszkańców kraju. Pierwszą grupą wśród nich byli Afrykanerzy, którzy stanowili 58 proc. ogółu białych mieszkańców" – tłumaczy Łodejska. Poniżej Burów, zwanych Afrykanerami, znaleźli się biali osadnicy z Wysp Brytyjskich. Niżej byli biali emigranci z innych części świata. Pod nimi mieszańcy pochodzący z małżeństw białych z osobami kolorowymi, zawartych przed ustanowieniem apartheidu. Kolejne szczeble drabiny społecznej tworzyli: Hindusi, Pakistańczycy oraz Azjaci z Dalekiego Wschodu. Wreszcie na samym dole znaleźli się czarni, stanowiący ponad 70 proc. populacji kraju, który w maju 1961 r. ogłosił się Republiką Południowej Afryki.

## Strategiczna samowystarczalność

„Jawnie głoszony program segregacji rasowej wywołał narastający ostracyzm na arenie międzynarodowej. Jednym z pierwszych tego przejawów było wniesienie w roku 1948 na forum ONZ przez rząd Indii skargi na Południową Afrykę w związku z dyskryminacją Hindusów w tym kraju" – pisze Gąsowski. „Wraz z wdrażaniem kolejnych ustaw, wprowadzających w życie politykę apartheidu, narastał międzynarodowy bojkot Południowej Afryki na różnych płaszczyznach" – dodaje.

Przygotowując się na skutki odcięcia od świata premier Daniel F. Malan przypomniał sobie o paliwach syntetycznych. Zatem w 1950 r. rząd powołał do życia państwowy koncern South African Coal, Oil and Gas Company (Sasol). Jednak okazało się, iż zakupione od III Rzeszy prawa licencyjne do technologii Fischera–Tropscha wygasły. Wówczas ratunku zaczęto szukać w USA. Niezbędne technologie tamtejsze firmy zdobyły dzięki temu, że pod koniec 1944 r. amerykańska misja techniczna przejęła kontrolę nad zakładami chemicznymi I.G. Farben w Ludwigshafen, konfiskując dokumentację i linie technologiczne oraz składając setkom niemieckich naukowców ofertę nie do odrzucenia. Musieli udać się do Stanów Zjednoczonych i zacząć pracować dla koncernów z sektora naftowego. W Waszyngtonie obawiano się bowiem niedoborów ropy i przeznaczono znaczne środki rządowe na wsparcie produkcji paliw syntetycznych. Wkrótce takie firmy jak M.W. Kellogg i Hydrocarbon Research zajęły się udoskonalaniem niemieckich reaktorów syntetyzujących benzynę z węgla.

Ale na początku lat 50. na rynek w USA trafiało coraz więcej taniej ropy z Bliskiego Wschodu. Paliwa te były dwu-, a nawet trzykrotnie tańsze od benzyny z węgla. Efekt mógł być jeden – do 1954 r. zamknięto wszystkie wytwórnie paliw syntetycznych w USA. Zatem Sasol mógł bez trudu wyłuskiwać z amerykańskiego rynku specjalistów i odkupić prawa patentowe do udoskonalonych technologii. Niemieccy naukowcy łatwo dawali się namówić na emigrację do Południowej Afryki, gdzie czuli się równie dobrze jak w III Rzeszy. Produkcja benzyny syntetycznej w zakładach Sasol ruszyła w 1955 r. Acz pięć lat trwało, nim osiągnęła wielkość dającą szansę na zabezpieczenie kraju przed odcięciem od dostaw ropy.

Pora ku temu była najwyższa. Przepisy uniemożliwiające czarnym przemieszczanie się poza granicami rezerwatów bez specjalnych przepustek stały się tak uciążliwe, iż w Sharpeville 21 marca 1960 r. rozpoczęły się masowe protesty. Ponad 20 tys. ludzi obległo komisariat. Władze ściągnęły uzbrojone oddziały policji i próbowały rozproszyć tłum za pomocą przelatujących nad głowami ludzi odrzutowych myśliwców. Gdy to nie poskutkowało, policjanci nagle zaczęli strzelać ostrą amunicją. Oficjalnie zginęło 69 protestujących, w tym aż 29 dzieci. Jednak w rzeczywistości zabitych było ok. setki, a rannych kilkuset. Zdjęcia z masakry, jakie zrobił brytyjski fotoreporter Ian Berry, pracujący dla „Daily Mail", obiegły cały świat.

Reakcje rządów krajów południa Afryki były tak gwałtowne, że musiała się zebrać Rada Bezpieczeństwa ONZ. Co więcej, zgodnie przyjęła ona rezolucję nr 134, dającą Zgromadzeniu Ogólnemu ONZ możliwość nakładania na RPA sankcji ekonomicznych. Wkrótce członkowie tej organizacji zobowiązali się do zerwania wszelkich kontaktów z Południową Afryką. Jednym z najważniejszych elementów pakietu sankcji stało się embargo paliwowe.

Rząd RPA odpowiedział na nie wsparciem dla Sasol. Państwowy koncern zbudował trzy wielkie wytwórnie benzyny syntetycznej, które w połowie lat 70. dostarczały na rynek ponad 50 tys. baryłek paliwa dziennie. Jednocześnie nauczono się omijać sankcje, prowadząc dyskretną wymianę handlową z całym światem. Mimo izolacji RPA ekonomicznie kwitło. „Gospodarka opierała się głównie na przemyśle i rolnictwie. Przemysł dostarczał około 33 proc. produktu narodowego (...) zaś rolnictwo – 11 proc. Pozostałymi, równie istotnymi gałęziami gospodarki, były: handel, transport, budownictwo, rybołówstwo i hodowla. Do początku lat 80. XX wieku, wszystkie gałęzie przemysłu cechował wysoki poziom rozwoju i duże tempo wzrostu" – odnotowuje Klaudia Łodejska.

Rasistowskie państwo znalazło się w gronie najwyżej rozwiniętych gospodarek świata. W wywiadzie udzielonym we wrześniu 1977 r. „The New York Times" premier RPA John Vorster, odnosząc się do międzynarodowych sankcji, oznajmił: „(...) Możemy zaspokoić większość naszych potrzeb poprzez działalność Sasol, która wytwarza ropę z węgla". W wywiadzie dla „Newsweeka" dodał: „Świat może nas zranić, ale nie sądzę, aby mógł nas zniszczyć".

Zdolność do zaspokajania wszelkich potrzeb energetycznych gospodarki sprawiła, że apartheid przetrwał jeszcze kilkanaście lat. Dobiły go nie sankcje, lecz fala wolnościowych przemian, która przetoczyła się przez cały świat po upadku komunizmu i rozpadzie Związku Radzieckiego. ©℗

KOMUNIKAT

**WYCIĄG Z OGŁOSZENIA O PRZETARGU**

**PREZYDENT MIASTA BYDGOSZCZY**

**informuje o ogłoszeniu II przetargu ustnego nieograniczonego na sprzedaż nieruchomości, stanowiącej własność Miasta Bydgoszczy, pod teren zabudowy mieszkaniowej wielorodzinnej, zabudowy usługowej**

1. Oznaczenie nieruchomości:

| Lp. | Położenie | Nr działki obręb | Pow. [ha] | Księga wieczysta | Cena wywoławcza netto [zł] | Wadium [zł] |
|---|---|---|---|---|---|---|
| 1. | ul. Garbary ul. Królowej Jadwigi w Bydgoszczy | 52/3<br>54/3<br>obr. 82 | 0,0689<br>0,0928<br>0,1617 | BY1B/00009132/4<br>BY1B/00036253/6 | 1.485.000,-* | 190.000,- |

* **Uwaga:** cena wywoławcza nieruchomości nie obejmuje należności podatkowych, które wprowadziła z dniem 1 maja 2004 r. ustawa z dnia 11 marca 2004 r. o podatku od towarów i usług (Dz. U. z 2025 r. poz. 775 ze zm.). Nabywca zobowiązany jest do zapłaty wylicytowanej ceny sprzedaży oraz obowiązującego w dniu sprzedaży podatku VAT.

2. Termin i miejsce przetargu: **14.07.2026 r. o godz. 12.00 w Ratuszu przy ul. Jezuickiej 2 w Sali Łochowskiego.**
3. Termin wpłaty wadium **07.07.2026 r.** przelewem na konto Urzędu Miasta Bydgoszczy w Banku Pekao SA Nr 27 1240 6452 1111 0010 4788 2066, przy czym za datę wniesienia wadium przyjmuje się datę uznania środków pieniężnych na wskazany w ogłoszeniu rachunek Urzędu Miasta Bydgoszczy.
4. Miejsce wywieszenia i publikacji pełnego ogłoszenia o przetargu:
   – na tablicy ogłoszeń w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta Bydgoszczy przy ul. Grudziądzkiej 9-15 w budynku A,
   – na stronie internetowej: http:// bip.um.bydgoszcz.pl.
5. Szczegółowych informacji o sprzedawanej nieruchomości i warunkach przetargu można uzyskać w Wydziale Mienia i Geodezji Urzędu Miasta, przy ul. Grudziądzkiej 9-15, w budynku A, pokój nr 122, tel.: 052/ 58 56 412, w godzinach 8.00 –16.00 (pon., śr., czw.); 8.00 – 18.00 (wt.); 8.00 – 14.00 (pt.).

eprasa.pl 1db1d53a52

KOMUNIKATY

**OBWIESZCZENIE**
**WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO**
**z dnia 6 maja 2026 r.**

Na podstawie art. 10 ust. 1 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (Dz.U. z 2024 r. poz. 1199) – zwanej dalej: ustawą,

**zawiadamiam**

o wydaniu na rzecz ENERGA OPERATOR S.A. decyzji Nr 2/2026 z 25 marca 2025 r. (znak: IR-III.747.56.2025.MK) o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla inwestycji pn. „Przebudowa istniejącej napowietrznej linii WN 110 kV relacji GPZ Krotoszyn Południe – GPZ Krotoszyn Północ".

Zgodnie z art. 25 ust. 1 ust ustawy decyzja podlega natychmiastowemu wykonaniu.

Od decyzji służy stronie odwołanie do Ministra Finansów i Gospodarki za pośrednictwem Wojewody Wielkopolskiego w terminie 14 dni od dnia, w którym zawiadomienie o jej wydaniu w drodze obwieszczenia uważa się za dokonane.

Zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691), w związku z art. 10 ust. 1 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **7 maja 2026 r.**, tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, właściwym miejscowo urzędzie gminy, w Biuletynie Informacji Publicznej, na stronach podmiotowych urzędu wojewódzkiego oraz urzędu gminy, oraz w prasie o zasięgu ogólnopolskim, ze skutkiem doręczenia na dzień obwieszczenia w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu.

Odwołanie od decyzji powinno zawierać zarzuty odnoszące się do decyzji, określać istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazywać dowody uzasadniające

to żądanie. W trakcie biegu terminu do wniesienia odwołania stronom przysługuje prawo do zrzeczenia się odwołania. Z dniem doręczenia Wojewodzie Wielkopolskiemu oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna. Zrzeczenie się prawa do wniesienia odwołania skutkuje brakiem możliwości odwołania od decyzji oraz jej zaskarżenia do wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Z treścią decyzji oraz z dokumentacją sprawy można się zapoznać w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Al. Niepodległości 16/18, Wydział Infrastruktury, Oddział Inwestycji Strategicznych, pok. nr 106 bud. C, tel. 61 854 1289, w godzinach obsługi klientów (poniedziałek, środa i piątek 8.30-15.00, wtorek i czwartek 12.00-15.00), po uprzednim uzgodnieniu godziny.

Treść decyzji została również zamieszczona wraz z obwieszczeniem **7 maja** 2026 r. na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

**OBWIESZCZENIE**
**WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO**
**z dnia 6 maja 2026 r.**

Na podstawie art. 10 ust. 1 ustawy z dnia 24 lipca 2015 r. o przygotowaniu i realizacji strategicznych inwestycji w zakresie sieci przesyłowych (Dz.U. z 2024 r. poz. 1199) – zwanej dalej: ustawą,

**zawiadamiam**

o wydaniu na rzecz Polskich Sieci Elektroenergetycznych S.A. decyzji Nr 1/2026 z 19 marca 2025 r. (znak: IR-III.747.57.2025.MK) o ustaleniu lokalizacji strategicznej inwestycji w zakresie sieci przesyłowej dla inwestycji polegającej na demontażu istniejącej linii elektroenergetycznej 220 kV relacji Piła Krzewina – Żydowo Kierzkowo w ramach zadania pn. „Budowa linii 400 kV Dunowo - Żydowo Kierzkowo - Piła Krzewina".

Zgodnie z art. 25 ust. 1 ust ustawy decyzja podlega natychmiastowemu wykonaniu.

Od decyzji służy stronie odwołanie do Ministra Finansów i Gospodarki za pośrednictwem Wojewody Wielkopolskiego w terminie 14 dni od dnia, w którym zawiadomienie o jej wydaniu w drodze obwieszczenia uważa się za dokonane.

Zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. – Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691), w związku z art. 10 ust. 1 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **7 maja 2026 r.**, tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, właściwym miejscowo urzędzie gminy, w Biuletynie Informacji Publicznej, na stronach podmiotowych urzędu wojewódzkiego oraz urzędu gminy, oraz w prasie o zasięgu ogólnopolskim, ze skutkiem doręczenia na dzień obwieszczenia w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu.

Odwołanie od decyzji powinno zawierać zarzuty odnoszące się do decyzji, określać istotę i zakres żądania będącego przedmiotem odwołania oraz wskazywać dowody uzasadniające

to żądanie. W trakcie biegu terminu do wniesienia odwołania stronom przysługuje prawo do zrzeczenia się odwołania. Z dniem doręczenia Wojewodzie Wielkopolskiemu oświadczenia o zrzeczeniu się prawa do wniesienia odwołania przez ostatnią ze stron postępowania, decyzja staje się ostateczna i prawomocna. Zrzeczenie się prawa do wniesienia odwołania skutkuje brakiem możliwości odwołania od decyzji oraz jej zaskarżenia do wojewódzkiego sądu administracyjnego.

Z treścią decyzji oraz z dokumentacją sprawy można się zapoznać w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Al. Niepodległości 16/18, Wydział Infrastruktury, Oddział Inwestycji Strategicznych, pok. nr 106 bud. C, tel. 61 854 1289, w godzinach obsługi klientów (poniedziałek, środa i piątek 8.30-15.00, wtorek i czwartek 12.00-15.00), po uprzednim uzgodnieniu godziny.

Treść decyzji została również zamieszczona wraz z obwieszczeniem **7 maja** 2026 r. na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

**OBWIESZCZENIE WOJEWODY WIELKOPOLSKIEGO**
**z 5 maja 2026 r.**

Na podstawie art. 8 ust. 1 pkt 3 w związku z art. 38 pkt 2 lit. zg ustawy z dnia 24 kwietnia 2009 r. o inwestycjach w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu (Dz.U. z 2025 r. poz. 1222) – zwanej dalej: ustawą,

**zawiadamiam**

o wszczęciu postępowania o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycjom w zakresie terminalu regazyfikacyjnego skroplonego gazu ziemnego w Świnoujściu na rzecz Operatora Gazociągów Przesyłowych GAZ-SYSTEM S.A. dla zadania „Rozbiórka istniejącej stacji i gazociągu wysokiego ciśnienia DN100 o długości ok. 1116 m w ramach realizacji zadania pn.: „Likwidacja stacji Konarskie wraz z gazociągiem zasilającym", w zakresie działek oznaczonych w ewidencji gruntów i budynków jako:

- w wykazie w nawiasach podano oznaczenie księgi wieczystej.

**Powiat poznański**
**Gmina Kórnik**
Jednostka ewidencyjna: 302109_5, Kórnik obszar wiejski,
Obręb 0006, Czołowo, dz. nr ewid.: 220 (PO1D/00064200/0), 213 (PO1D/00019987/0);
Obręb 0012, Konarskie dz. nr ewid.: 220/1 (PO1D/00019151/1), 220/2 (PO1D/00026637/4), 222 (PO1D/00060912/6), 223 (PO1D/00053509/6), 230 (PO1D/00020088/8), 231 (PO1D/00020088/8), 232 (PO1D/00020088/8), 233/12 (PO1D/00060913/3), 233/13 (PO1D/00060913/3), 234/10 (PO1D/00044811/0), 247 (PO1D/00025388/6), 248/1 (PO1D/00048316/8), 248/2 (PO1D/00035927/0), 248/3 (PO1D/00035927/0), 250/2 (PO1D/00019499/2), 251 (PO1D/00032722/2), 252 (PO1D/00044688/8), 253/3 (PO1D/00047704/8), 253/6 (PO1D/00054495/1), 253/13 (PO1D/00032722/2).

Jednocześnie zawiadamiam, że zgodnie z art. 49 § 2 ustawy z dnia 14 czerwca 1960 r. - Kodeks postępowania administracyjnego (Dz.U. z 2025 r. poz. 1691) - zwanej dalej: Kpa, w związku z art. 8 ust. 1 pkt 3 ustawy, zawiadomienie stron postępowania uważa się za dokonane po upływie czternastu dni od **7 maja 2026 r.**, tj. dnia, w którym nastąpiło publiczne ogłoszenie poprzez obwieszczenie w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu i właściwym miejscowo urzędzie gminy, na tablicach ogłoszeń i w Biuletynie Informacji Publicznej, a także w prasie ogólnopolskiej.

W przypadku gdy po dokonaniu niniejszego zawiadomienia nastąpi:
1) zbycie własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu,
2) przeniesienie wskutek innego zdarzenia prawnego własności lub prawa użytkowania wieczystego nieruchomości objętej wnioskiem o wydanie decyzji o ustaleniu lokalizacji inwestycji towarzyszącej inwestycji w zakresie terminalu
   – nabywca, a w przypadku, o którym mowa w pkt 1, nabywca i zbywca, są obowiązani do zgłoszenia właściwemu wojewodzie danych nowego właściciela lub użytkownika wieczystego.

Niedokonanie powyższego zgłoszenia i prowadzenie postępowania bez udziału nowego właściciela lub użytkownika wieczystego nie stanowi podstawy do wznowienia postępowania.

Zgodnie z art. 10 Kpa, strony postępowania lub ich przedstawiciele i pełnomocnicy mogą zapoznać się z aktami sprawy w Wielkopolskim Urzędzie Wojewódzkim w Poznaniu, Wydział Infrastruktury, Al. Niepodległości 16/18, pok. 106 bud. C, a także mają prawo wypowiedzieć się co do zebranych dowodów i materiałów oraz zgłoszonych żądań.

We wszystkich sprawach prowadzonych przez WUW w Poznaniu można się kontaktować z pracownikami telefonicznie (tel. 61 854 12 89) i osobiście w godzinach obsługi klientów (poniedziałek, środa, piątek od 8.30 do 15.00, wtorek, czwartek od 12.00 do 15.00) po uprzednim uzgodnieniu godziny, lub mailowo (mkossakowska@poznan.uw.gov.pl).

Mapy przedstawiające granice terenu objętego wnioskiem zostaną zamieszczone wraz z obwieszczeniem **7 maja 2026 r.** na stronie internetowej: www.poznan.uw.gov.pl w zakładce Ogłoszenia.

eprasa.pl 1db1d53a52

FOT. WOJTEK GÓRSKI

# Cena ropy w górę czy w dół?

*Rafał* Woś

Ile za rok będzie kosztowała baryłka ropy? Będzie dwa razy droższa? A może właśnie odwrotnie – dwa razy tańsza? Wcale się nie dziwię analitykom, że nie są jednomyślni. Bo i jedni, i drudzy mają dobre argumenty.

Jedni dowodzą, że niebawem baryłka ropy z obecnych 100–110 dol. dojdzie do 200 dol. Fundamentem ich rozumowania są rynkowe turbulencje związane z trwającym w Zatoce Perskiej starciem amerykańsko-irańskim. Cieśnina Ormuz, przez którą przed wojną przechodziło 20 proc. światowej podaży ropy, pozostaje zablokowana. Leżące nad Zatoką Perską kraje produkujące ropę – Arabia Saudyjska, Iran, Irak, Zjednoczone Emiraty czy Oman – nawet jeśli mają inne trasy sprzedaży (rurociągi w kierunku Morza Czerwonego czy Morza Śródziemnego), to nie są to z ich perspektywy rozwiązania optymalne. Przepustowość rur nie jest bowiem dopasowana do podaży surowca.

A na dodatek rurociągi łatwo mogą się stać celem ataku. Ot, jak ostatnio Fudżajra, którym ZEA chciały sprytnie ominąć Ormuz, wychodząc wprost do Zatoki Omańskiej, ale naloty irańskich dronów sprawiły, że i ta droga tak bezpieczna nie jest.

Iran z kolei niby dławi się własnymi zapasami surowca, których nie może wywieźć – ropy zaś nie można przestać wydobywać, bo grozi to zniszczeniami infrastruktury naftowej. Z drugiej jednak strony skapitulować przed Waszyngtonem nie chce, więc rozwiązanie konfliktu odsuwa się w czasie. Podsumowując – wszystkie te okoliczności każą części analityków przypuszczać, że cena ropy będzie tylko rosła.

Na wszystkie te zdarzenia spojrzeć można jednak także z odwrotnej perspektywy. To znaczy, że już za chwilę – tygodnie, miesiące – cena ropy spadnie do poziomu 40 dol. za baryłkę. Czy to możliwe? Owszem. I to z kilku powodów. Po pierwsze, konflikt złamie na dobre potęgę OPEC. Ten kartel od pół wieku dyktujący ceny baryłki przeżywa dziś ciężkie chwile. Jego produkcja jest w większości uwięziona w Zatoce.

Po drugie, zaczęły się – z konieczności – kształtować nowe szlaki dostaw. Zawrócone przed Ormuzem tankowce ruszyły po ropę do USA – i to Ameryka produkuje dziś i eksportuje najwięcej ropy na świecie. I zarazem najwięcej w swojej historii. Ktoś powie, że Stanom bardzo to pasuje i w ich interesie jest to, by ropa pozostawała droga. Nie do końca. Pamiętać należy, że USA to także największy konsument tego surowca. W związku z tym trzeba oczekiwać, że przywództwo polityczne Ameryki zrobi wszystko, by cenę ropy na rynkach zbijać. Zresztą Donald Trump i jego ludzie mówią otwarcie o tym, że ich interesuje tania ropa, na której będzie można oprzeć odrodzenie amerykańskiej wytwórczości w kraju.

Po trzecie, wszystko wskazuje na to, że amerykańska interwencja w Wenezueli sprzed kilku miesięcy zaczyna przynosić stopniowe włączanie tamtejszej ropy do światowego systemu. A dodajmy, że mówimy o graczu, który dysponuje największymi na świecie złożami surowca. Takie uruchomienie Wenezueli będzie więc rodzajem przebudzenia śpiącego giganta, który od 20 lat sprzedawał zaledwie ułamek tego, co mógł i powinien.

Po czwarte, w tym kontekście niedawna decyzja Zjednoczonych Emiratów Arabskich o opuszczeniu OPEC też mieści się w tym schemacie. Będąc poza kartelem ZEA może zwiększyć wydobycie ropy – a to trzeci co do wielkości producent w rejonie Zatoki. Znów więcej podaży surowca i większa presja na obniżenie ceny.

A jak będzie? Ja mam na ten temat swoje zdanie. Powiem tylko, że... będzie taniej. Zobaczycie. ©℗

Autor jest redaktorem naczelnym „Tygodnika Solidarność”

# Ukryte na widoku

**Istnieje optymalny poziom różnorodności ekipy filmowej, który pozwala danemu tytułowi osiągnąć najlepszy wynik. Podobny mechanizm może działać w innych branżach, nie tylko w kinematografii**

*Joanna* Tyrowicz

Autorka jest ekonomistką GRAPE

Minęło 20 lat, od kiedy aktorka Geena Davis zaczęła monitorować, kto nam opowiada historie ze srebrnego ekranu. Żadna z 20 najpopularniejszych kinowych premier w 2005 r. nie opowiadała historii głównej bohaterki, zaś tylko w 11 proc. filmów była wiodąca rola żeńska – w pozostałych kobiety były na drugim lub dalszym planie.

Davis postanowiła pokazać wszystkim, jak wyglądają dane – w tym celu zaczęła je zbierać. Mierzyła udział w kinowych filmach kobiet, mniejszości etnicznych, postaci nieheteronormatywnych i sposób przedstawiania poszczególnych grup wiekowych. Przez dwie dekady obrazy na srebrnym ekranie uległy znaczącym zmianom. Obecnie ponad 40 proc. filmów ma główną bohaterkę i – choć zdarzają się wyjątki – to najczęściej jest ona grana przez kobietę.

Ale różnorodność w kinie to nie tylko efekt presji. Manthos Delis (Szkoła Biznesu w Montpellier), Anastasia Litina (Uniwersytet Macedonii w Salonikach) i Skerdi Zanaj (Uniwersytet w Luksemburgu) przeanalizowali związek pomiędzy wynikami filmu i różnorodnością ekipy, która go stworzyła. Wyniki mierzyli za pomocą ocen widzów i zysku (box office). A jak ocenić różnorodność ekipy?

Nie klasyfikowali zespołu filmowego według płci oraz koloru skóry. Zamiast tego wykorzystali miary zróżnicowania genetycznego w kraju pochodzenia członków ekipy. To miara rozbieżności w genetyce między populacjami, heterozygotyczności, czyli tego, jakie jest prawdopodobieństwo, że dwie losowe osoby z jednego kraju mają takie same geny. Choć sam w sobie indeks ten nie mówi, czy ludzie wyglądają podobnie – jest statystyczną reprezentacją potencjalnej heterogeniczności poznawczej, kulturowej i komunikacyjnej. Miarę zaproponowali niemal 15 lat temu Oded Galor (Uniwersytet Browna) oraz Quamrul Ashraf (Williams College) i poza niemal 2 tys. cytowań ma również setki zastosowań w badaniach: od rozwoju gospodarczego po zarządzanie wielokulturowe.

Badacze ręcznie zebrali dane z ponad 77 tys. filmów wyprodukowanych między 1998 r. a 2008 r. i przypisali każdej osobie w zespole wartość zróżnicowania genetycznego odpowiadającą ich krajowi pochodzenia, a następnie wyliczyli różnorodność całej ekipy jako średnią par odległości genetycznych między jej członkami. To podejście pozwoliło uchwycić strukturalną złożoność zespołu, niezależnie od deklarowanych tożsamości czy kategorii etnicznych. Inna sprawa, że nie każda różnorodność działa tak samo. Różnorodność „widzialna” dotyczy obsady aktorskiej, a „niewidzialna” obejmuje ekipę po drugiej stronie kamery: reżysera, scenarzystów, producentów itp. Jedna przemawia do publiczności, druga – kształtuje proces twórczy. Jedna może być efektem strategii marketingowej, druga – strukturalnym wyborem. I każda z nich może inaczej wpływać na odbiór filmu.

I co zauważyli naukowcy? Po pierwsze: istnieje optymalny poziom różnorodności, który pozwala filmowi osiągnąć najlepszy wynik (oceny widzów i zysk). Dla małej i dużej różnorodności wyniki są gorsze niż dla wartości pośrednich. A obecna średnia jest dużo poniżej tej, którą model sugeruje jako optymalną. Po drugie, na wyniki filmu ma wpływ zarówno „widzialna”, jak i „niewidzialna” różnorodność. Dla widzów liczy się to, co widzą – z kim mogą się identyfikować. Jeśli chodzi o różnorodność niewidzialną, mechanizm działania jest inny, bo oddziałuje poprzez styl, tematykę i język.

Srebrny ekran jest fajny, bo wiele na nim widać: różnorodność działa – ale nie mechanicznie. Żeby generowała korzyści, wymaga struktury i strategii. Ma też swoje optimum. W każdym razie tyle widać w kinach. Ale użyteczność tego badania wykracza dalece poza przemysł filmowy. Jeśli mechanizm różnorodności działa podobnie w innych obszarach działalności – mniej wyeksponowanych – to prawdopodobnie tam także mamy do zyskania jeszcze spore korzyści z owej różnorodności. ©℗

eprasa.pl 1db1d53a52